

**KELLY LESLIE**

**Wesele po włosku**  
**cykl: Trzy wesela**

*There Goes The Groom*  
*That's Amore!*

## Prolog

Śluby powinny być prawnie zabronione. Tak pewnego poranka zdecydowała Daisy O'Reilly. Pewnego koszmarnego poranka, choć było to na wiosnę i w dodatku w niedzielę.

Zabronić wszystkiego, od białej, droższej od samochodu sukni począwszy, aż po czarny smoking, w którym co drugi pan młody wygląda jak kelner. Precz z całym tym upiornym rytuałem, który dręczy Bogu ducha winnych ludzi i jest gorszy od inkwizycji. Koniec z torturą za ciasnych pantofli, cikliwą muzyką, sztucznymi uśmiechami i przysięgami, które tak łatwo jest złamać.

Cały ten ślubny cyrk to tylko i wyłącznie studnia bez dna, w której nie dość, że topi się pieniądze, to jeszcze i marzenia.

Niestety, w tej właśnie studni Daisy w pewnym sensie tkwiła na stałe, ponieważ razem z kuzynką prowadziła firmę internetową, która dostarczała artykuły ślubno-weselne. Biznes się kręcił, pieniądze do studni wpływały szerokim strumieniem. Daisy naprawdę nie miała najmniejszego powodu, żeby kłać na dojną krowę, dzięki której nie chodziła goła, miała co jeść i dach nad głową.

Może i nie powinna kłać. A więc przestanie, na pewno, ale dopiero w przyszłym miesiącu. Nie teraz, kiedy jest w dołku, bo właśnie porzucił ją kolejny facet.

– Jeszcze nie zadzwonił?

Poderwała głowę. W drzwiach pokoju, zawałonego towarem przeznaczonym do wysyłki, stała Trudy, kuzynka i współwłaścicielka znamienitej firmy domeafavor.com.

– Kto?

– Jak to kto? Nie udawaj, Daisy, doskonale wiesz, o kogo mi chodzi. O Dana Kretynka. Ten głupek zmienił uśmiechniętego, szczęśliwego kwiatuszka, jakim byłaś adekwatnie do swego imienia\* [\*Daisy (ang.) – stokrotka. (Przyp. tłum.)], w melancholijną, nienawidzącą romansów feministkę o nazistowskich inklinacjach.

Daisy w odpowiedzi chrząknęła tylko i kontynuowała wkładanie do kartonu hawajskich wieńców ślubnych. Nie z kwiatów, lecz z cukierków. Ciekawe, czy hawajskie panny młode nakładają sobie coś takiego na głowę, rezygnując z welonów, a zamiast sukien przywdziewają spódniczki hula z trawy. Jeśli tak, to na pewno wychodzi im to taniej, o wygodzie nawet już nie wspominając.

– Tak ci się tylko wydaje, Trudy.

Trudy wprawdzie nie podjęła dyskusji, za to postanowiła podać Daisy

pomocną dłoń. Rzuciła torebkę na zawalone biurko i chwyciła taśmę.

– Czyli nie zadzwonił? Nie szkodzi. Mała strata.

– Tak. Miałam szczęście – wymamrotała Daisy, wkładając do kartonu fakturę.

– O nie, kochana. Wcale nie miałaś i nie masz. A wiesz, dlaczego? Bo wybierasz samych palantów, dlatego koniec zawsze jest żaloszny. Ciekawa jestem, kiedy to w końcu do ciebie dotrze.

– A... dziękuję, Trudy. Rzeczywiście umiesz pocieszyć człowieka.

Zamknęła karton i przytrzymała, kiedy Trudy oklejała go taśmą, naturalnie nie przerywając wymądrzania się:

– Nie obraż się, Daisy, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego taka ładna i inteligentna dziewczyna jak ty umawia się tylko z debilami albo ze zwykłymi podrywaczami. Jakbyś sama się prosiła, żeby złamać ci serce.

Daisy milczała, niemile zaskoczona, że kuzynka zdecydowała się tak głęboko zajrzeć jej do duszy. Stanowczo zbyt głęboko, czyli tam, gdzie ukrywają się te wszystkie najgorsze problemy, które przesłaniają blask słońca i lazur nieba, w ogóle z życia czynią całkiem niemiłą imprezę. Bo problem istniał, oczywiście. Trudno było temu zaprzeczyć. Przecież sama Daisy nie raz i nie dwa, zwykle w ciemnościach nocy spędzanej solo, próbowała stworzyć coś w rodzaju listy swoich niebywałych zalet, które teoretycznie powinny przyciągnąć do niej, nawet jeśli nie kogoś całkiem super, to choćby normalnego faceta. Niestety, ta lista była żenująco krótka i w rezultacie Daisy zgadzała się na randkę z następnym Danem Kretynkiem czy Carlem Głupkiem, powtarzając sobie w duchu, że nie ma co się łudzić. Żaden facet na poziomie nie zainteresuje się takim nieszczęsnym kaczątkiem. Chyba że ot tak, z nudów, na bardzo krótko.

Jedna przesyłka gotowa, kolej na następną. Drugi karton pełen gadżetów dla jakiejś szczęśliwej pary, która gdzieś tam w Ameryce szykowałą się do ślubu. Ten niewielki karton zapełniły malutkie oczka z metalu, czyli amuleciki, które miały chronić od uroku, a mówiąc precyzyjniej, odwracać złe spojrzenia. Dla Daisy łączenie radosnego dnia ślubu ze złymi spojrzeniami wydawało się trochę bez sensu. Chociaż może nie do końca, bo czyjeś spojrzenie mogło być nieprzychylnie. Choćby przyszłej teściowej...

Metalowe oczka były jednak niczym w porównaniu z zawartością trzeciego pudła, którą stanowiły migdały. Po prostu migdały. A raczej nie po prostu, bo były to migdały w lukrze, do tego twarde jak kamyki. Podczas próby zgryzienia jednego z nich Daisy wypadła plomba.

Kiedy kończyły oklejać taśmą trzecie pudło, Trudy ponownie zabrała głos:

– Powiedz, czy istnieje szansa, że w końcu dasz się namówić na randkę z jakimś facetem na poziomie?

Daisy sięgnęła po stosik pocztowych nalepek, wyplutych przed chwilą przez drukarkę.

– Taka sama, jak na znalezienie takiego właśnie faceta. Czyli zerowa, bo odnoszę wrażenie, że ten gatunek dawno już wymarł. Przetrwały same bubki, tacy, co to noszą z sobą lusterko, żeby sprawdzić, czy fryzurka w porządku. I taśmę mierniczą, żeby zmierzyć swego...

– Hm!

Głośne chrząknięcie zamknęło Daisy usta i zmusiło do szybkiego spojrzenia w tył, ponieważ dźwięk ten na pewno nie wyszedł z gardła kuzynki. Było to chrząknięcie zdecydowanie rodzaju męskiego.

Facet w drzwiach wyglądał super i był cały w brązach. Włosy – brąz jasny, oczy – brąz błyszczący, uniform – brąz bardzo dobrze znany, nosili go bowiem pracownicy współpracującej z Daisy firmy kurierskiej.

Czyli nowy kurier, bo twarz nieznana. O matko! Ciekawe, czy słyszał jej głupią uwagę, a po drugie ciekawe, jaki kolor ma teraz jej twarz. Czerwona jak czerwony cukierek czy jeszcze na etapie różowości waty cukrowej?

– A więc... Dzień dobry!

– Dzień dobry! – przywitał ją grzecznie, ale oczy mu się śmiały. Czyli słyszał, niestety, czego niezbitym dowodem był dalszy ciąg jego wypowiedzi: – A tak na marginesie, to nigdy nie noszę z sobą lusterka. Taśmę mierniczą owszem, służy mi do mierzenia przesyłek.

Trudy parsknęła, śmiechem oczywiście, ale na krótko, bo już stała w progu, już startowała do biegu.

– Przepraszam, ale mam coś pilnego do zrobienia. – Gdyby obłuda fruwała, Trudy byłaby jaskółką.

Daisy odprowadziła ją ponurym wzrokiem. Coś pilnego do zrobienia... Siądzie sobie w biurze i będzie chichotać, że jej ukochana kuzynka i współpracowniczka zrobiła z siebie idiotkę przed takim świetnym facetem.

Świetny facet się przedstawił.

– Jestem Neil.

Neil... Hm... A dalej jak? Neil Neandertalczyk? Jak się ma pecha, to się go po prostu ma. Neandertalczycy, kretyńki, głupki – tylko tacy faceci zagadywali do Daisy O'Reilly. Ci normalni nie.

Ej, Wyluzuj, dziewczyno! Po co z góry uprzedzać się do faceta, który zjawił się tu zaledwie przed sekundą? Może wcale nie jest taki zły? O właśnie. Żaden Neandertalczyk, tylko Neil Wcale Nie Taki Zły.

Nie. Głupota z tym wyluzowaniem. Lepiej spławić faceta od razu. Serce złamane raz na miesiąc to wystarczająca norma.

– Możesz wierzyć albo nie, ale od czasu do czasu nazywają mnie równym gościem – powiedział Neil. – Podobno jestem nawet sympatyczny. Ciężko pracuję i jestem... wolny!

Tu nastąpił uśmiech. O matko! Ależ on ma dołeczki! Autentyczne dołeczki w obu policzkach, dołeczki, w których po prostu można się zatracić.

Poza tym... Poza tym on powiedział to takim tonem! Wręcz... zachęcająco.

– A więc jak? – spytał – Chcesz dalej trwać w przeświadczeniu, że normalnych facetów nie ma? Tak samo jak na przykład elfów? A może pogadamy sobie chwilę? Powiesz mi, jak się nazywasz?

– Niestety, jestem bardzo zajęta – powiedziała, starając się usilnie, by zabrzmiało to jak najbardziej oschle i urzędowo. Spojrzenie, naturalnie, skierowane w bok, bo gdyby jeszcze raz spojrzała w jego stronę, prawdopodobnie zaczęłaby się gapić jak sroka w gnat, czyli w brązowe kędziorki wijące się słodziutko za uszami. W drobnusieńkie zmarszczki koło oczu, kiedy się uśmiechał. O wspaniałych, męskich poślachkach w głupich brązowych szortach nawet już nie wspominając.

– W porządku. – W jego głosie słychać było rozczarowanie, ale urazy chyba nie. – Więc co masz dla mnie?

– Ja... Aha... Trzy przesyłki.

– Można zabrać?

Skinęła głową i natychmiast uświadomiła sobie, że nie. Wcale nie, przecież nalepki trzymała w ręku. Przykucnęła i szybko je ponaklejała.

– Gotowe – powiedziała. – Można zabierać. Neil O Twarzy Prawie Idealnej, nie przestając się uśmiechać, wykręcił swoim małym wózkiem i ustawił na nim pudła.

– Może następnym razem, kiedy tu będę, przełamiesz się – rzucił przez ramię, ruszając do drzwi. – Powiesz mi, jak masz na imię. Bardzo chciałbym to usłyszeć.

Wyszedł, zostawiając ją samą. Nie, nie samą, bo z lekkim zawrotem głowy.

– Daisy – szepnęła, zdając sobie doskonale sprawę, że Neil już jej nie słyszy. – Nazywam się Daisy.

Powiedział, że chciałby to usłyszeć. Jakie to romantyczne... Żaden głupi podryw. Prosił o danie mu szansy udowodnienia, że normalni, sympatyczni faceci istnieją, a tak się składa, że on jest jednym z nich.

Niestety ona, speszona faktem, że przypadkiem usłyszała, jej złośliwy komentarz, chciała pozbyć się go jak najprędzej. Mówiąc precyzyjniej, kogo chciała się pozbyć jak najprędzej? Ano faceta, który najzwyczajniej w świecie był dla niej miły.

Tak. Neil Miły. A ona – Daisy Głupia Rozkojarzona Idiotka. Nabzdyczyła się, a teraz wiele by dała, żeby Neil Od Dawna Wyczekiwany po prostu jeszcze tu był.

Pośpieszyła się. Po prostu – nie pomyślała.

O matko! Oczywiście, że nie pomyślała! Z powodu pustki w głowie nie zadała sobie trudu, żeby skojarzyć dane pudełko z daną nalepką. Ponaklejała je na chybił trafił. Teraz nie wiadomo, czy trzy pary narzeczonych gdzieś tam, w Ameryce, dostaną to, co zamówiły na swój ślub.

Może tak. A może – nie.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Suknia ślubna dla księżniczki.

Palce Rachel Grant ostrożnie przesunęły się po miękkiej obfitości jedwabiu i koronek, rozłożonej na kolanach. Fason był bardzo prosty, tradycyjny: dekol w karo, rękawy długie i wąskie. Ale ta suknia była cudowna. Materiał w najlepszym gatunku, o czym świadczył ten szczególny delikatny połysk, a koronki... Och! Koronki były jak mgiełka. Człowiek po prostu bał się, że pod jego oddechem rozplyną się w nicość.

I ta biel. Śnieżna biel, symbol niewinności panny młodej.

Niewinności... Rachel z powątpiewaniem pokręciła głową. Czy w dzisiejszych czasach coś takiego jeszcze istnieje? Ona w każdym razie, po przeprowadzce do Chicago, gdzie razem z ciotką otworzyły butik dla przyszłych pań młodych, miała co do tego poważne wątpliwości. Komu na tym jeszcze zależy? Chyba tylko jednostkom.

Jeśli chodzi o samą Rachel Grant, czuła się do bieli całkowicie upoważniona, ponieważ jej erotyczna przeszłość ograniczała się do jednego – dosłownie! – doświadczenia, jeszcze w szkole średniej. Wydarzyło się to na tylnym siedzeniu w samochodzie, przy czym osoby zainteresowane, w obawie przed nagłym blaskiem reflektorów przejeżdżającego auta, pozostały kompletnie ubrane.

Potem też nie było najciekawiej. Aktywność seksualną Rachel można by porównać do aktywności rozwódki po menopauzie. A od pół roku nie chodziła nawet na niewinne randki, czyli kompletna posucha.

Jej palce przesunęły się ostrożnie po malutkich perełkach w kształcie ziarenek, zdobiących stanik sukni. W porządku, przyszyte dostatecznie mocno. I są takie maciupeńkie! Tak samo malutkie były zachwycające różyczki w talii, tuż nad kaskadą koronek, tworzących tren o długości trzech metrów.

Przepiękna suknia. Perfekcyjna. Jedyne mankament to fakt, że należy do tej właśnie osoby. Do nazistowskiej narzeczonej z Taylor Avenue.

– Skarbie! Znów ją oglądasz?

Pełna poczucia winy Rachel poderwała głowę. Była pewna, że jest sama i samotność tę wykorzystała na spokojne zachwywanie się nadzwyczajną suknią, którą przed kilkoma dniami dostarczono dla jednej z klientek.

– Ginny! Miałaś przecież iść do banku!

– Musiałam wrócić. Nie zabrałam... pieniędzy. Powstrzymała się od komentarza, zresztą bez żadnego trudu, bo komu jak komu, ale ciotce Ginny nie miałyby serca sprawić nawet najmniejszej przykrości. Ciotce Ginny, aniołowi w stu procentach, Rachel Grant gotowa była przychylić nieba.

Ów anioł miał lat pięćdziesiąt i jasne włosy przetkane już siwizną. Wokół

łagodnych brązowych oczu podczas uśmiechu pojawiała się siateczka drobniutkich zmarszczek. Była to jednak pięćdziesięciolatka bardzo ruchliwa i krzepka, krótka pamięć nie miała nic wspólnego z wiekiem. Była to po prostu wrodzona cecha charakteru tej uroczej osoby. Ginny mawiała, że gdyby nie biust – jej zmora od chwili, gdy przekroczyła dwunasty rok życia – to kto wie, czy nie zdarzałoby się jej wyjść z domu w stroju pramatki Ewy, jednak dwa giganty pod nosem nieodmiennie przypominały o nagości.

Uroczą pięćdziesięciolatkę natura obdarzyła figurą dziewiętnastowiecznej damy, sławetną klepsydrą, w tym wypadku ze zdecydowanie rozbudowaną częścią górną. Figura Rachel, niestety, niewiele odbiegała od tego schematu. Nie, nie były to miseczki D, ale i tak niełatwo było pracować wśród pięknych sukien ślubnych, często bez ramiączek, jeśli sukienkę bez ramiączek po raz ostatni miało się na sobie na potańcówce w szóstej klasie.

– Chyba zapomniałam dziś zażyć ginko biloba – wyznała Ginny, robiąc tragiczną minę. – Podobno poprawia pamięć. Niestety moja tak bardzo szwankuje, że zapominam o łyknięciu tabletki. Po prostu obłąd, co?

Rachel zachichotała. Uwielbiała ciotkę, a ponadto współpracowało im się świetnie. Ich niedawno otwarty butik o wymownej nazwie „Przedślubny Zamęt” prosperował znakomicie. Rachel wzięła na siebie finanse i wszystkie sprawy biznesowe, Ginny skoncentrowała się na sprawach krawieckich. Ten podział ról był idealny. Czasami jedna zastępowała drugą, nie zawsze jednak z dobrym efektem. Wiele je różniło, przez co dobrze się uzupełniały, miały jednak też wspólne cechy. Niestety, chodziło nie o zalety, lecz o wady, a mianowicie bałaganiarstwo i brak organizacji. Najlepszym tego dowodem był pokój na zapleczu, przypominający pudełko wyściełone białą tkaniną. Wszędzie bowiem, jak okiem sięgnąć, piętrzyły się jedwabie, tiule i koronki.

– Ginny? Może ja odniosę pieniądze?

– Absolutnie nie. Mam tam po drodze, a poza tym ty... jesteś zajęta! Och, nie obraż się, Rachel. Wcale się nie dziwię, że upajasz się tą suknią. Piękniejszej w życiu nie widziałam.

– Nie upajam się. Pożadam jej.

Oczywiście tylko sukni. Niczego więcej nie pożądała z dobytku nazistowskiej panny młodej. A już, broń Boże, jej narzeczonego, Luke’a Santorigo. Z tych Santorich, co mieli restaurację kilka domów dalej. Przemiała rodzina. Ludzie pełni życia, trochę hałaśliwi, ale serdeczni i życzliwi całemu światu. Tylko Luke się wyrodził. Sarkastyczny, drażliwy, serdeczności w nim było tyle co w kostkach lodu. Czyli idealny partner dla Marii Martinelli, tej psychopatia, którą zapewne czeka bunt ze strony udręczonych przyszłych druchen, o krawcowej nie wspominając. Kto wie, czy nie dojdzie nawet do morderstwa.

Rachel słyszała, że Luke kiedyś był całkiem inny. Człowiek rozrywkowy,



nawet trochę playboy, powiadano o nim. Jednak ta podrywająca część jego osoby zanikła w dniu, w którym zaręczył się z córką znanego dona z okolicy, Rudy'ego Martinello, którego koneksje sięgały podobno nie tylko wschodniego wybrzeża Stanów, czyli Nowego Yorku, lecz jeszcze dalej, bo aż krainy przodków, czyli Sycylii.

Trzeba przyznać, że pan prokurator okręgowy dokonał interesującego wyboru. Bierze sobie za żonę córkę człowieka, którego całe Chicago zwie wielkim bossem przestępczego świata.

– Wstyd i hańba, że taką suknię będzie nosić ten diabeł w spódnicy – mruknęła Ginny. – Założę się, że na tobie wyglądałaby wspaniale. Rachel, a nie mogłabyś...

O nie! Tylko nie to! Rachel nigdy w życiu nie przymierzy sukni ślubnej innej kobiety. Żeby coś takiego zrobić, trzeba być kobietą nadzwyczaj silną, a to w przypadku Rachel nie było takie pewne. Albo też, patrząc z drugiej strony, nie chciała tym gestem postawić kropki na końcu pewnego króciutkiego zdania, równoważnika zdania za ledwie. I nie kropkę, tylko wykrzyknik.

Rachel Grant – ofiara życiowa!

– Daj spokój, Ginny, chciałam po prostu po raz ostatni rzucić okiem na tę suknię. Jutro panna młoda przychodzi do przymiarki, więc znowu będzie sądny dzień. Pamiętasz, jak poprzednim razem narzekała, że musi mieć taką tradycyjną suknię? Bo ojciec się uparł, a ona nie chce mu robić przykrości. Jestem pewna, że jutro też będzie zachowywać się okropnie.

– Na to się zanosi... – Ginny westchnęła głęboko. – A tak się składa, że właśnie jutro chciałam wyjść na parę godzin.

– Cóż za zbieg okoliczności! Bo ja myślałam o tym samym!

– To może Maddie...

– Maddie?! Zapomniałaś, co powiedziała Maddie? Jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie musiała obsługiwać tę nazistkę, jej noga więcej tu nie postanie.

Co byłoby tragedią. Maddie, która pracowała u nich w niepełnym wymiarze godzin, była osobą bezcenną. Butik od samego początku oblegany był przez klientki i tylko dzięki pomocy Maddie Rachel udawało się czasami wygospodarować dla siebie wolny weekend.

– Zastanów się nad tym, Rachel. Bo ja, niestety, mam jutro wizytę u ginekologa. Wiesz, doroczne badania kontrolne. Tę wizytę wyznaczono mi już kilka miesięcy temu. Nie mogę odwołać!

Rozpromieniony wzrok Ginny powędrował ku górze. Zapewne dziękowała niebiosom za zesłanie jej faceta, który jutro będzie wpychał w nią ten swój metalowy instrument.

Rachel jęknęła, z powyższych faktów bowiem wynikało, że to ona będzie musiała jutro obsłużyć tę psychopatkę. Ale cóż... Jęknęła sobie jeszcze raz, tyle

przynajmniej mogła.

Wstała i powiesiła suknię na wieszaku.

– Ja to zawsze mam szczęście – wymamrotała pod nosem, zaciągając energicznie zamek w pokrowcu.

– Głowa do góry, Rachel. Może nasza nazistka będzie w lepszym nastroju.

– Ach, oczywiście! Będzie słodka jak miód. Mało tego, po jej wyjściu przyjdzie tu księżę z bajki i porwie mnie w objęcia.

– Wszystko jest możliwe.

– Ale mało prawdopodobne. Niestety, jak dotychczas żaden z podrywających mnie facetów nie okazał się księciem z bajki.

– Przede wszystkim, skarbie, dlatego, że są to księżęta, którzy należą do innych kobiet.

– Przede wszystkim, kochana, to nie są żadni księżęta, tylko zwyczajne dranie. Przysięgam, jeśli jeszcze jeden taki ruszy do mnie z łapami, kiedy jego narzeczona ma przymiarę, to nie ręcę za siebie!

Ginny mrugnęła wesoło.

– W takim razie mam tylko jedną prośbę. Kiedy będziesz wymierzała sprawiedliwość, rób to z dala od sukien, bo na białym jedwabiu plamy z krwi są doskonale widoczne. No to pa, kochanie! Jutro przychodzę później, po tych badaniach.

– Chwileczkę, Ginny! A na którą ty tam idziesz?

– Na którą? – Ciotka nagle zagapiła się gdzieś w dal. Wiadomo, nie miała odwagi spojrzeć Rachel w oczy. – O której przychodzi ta nazistka?

– Ginny...

– Już dobrze, dobrze. Idę na jedenastą. W butikku będę po lunchu.

Maria Martinelli miała wyznaczoną przymiarę na wpół do jedenastej. Ginny musiała wiedzieć o tym. Zdradziły ją ramiona, które podrygiwały podejrzenie. Czyli ciotka, która właśnie zniknęła za progiem, śmiała się radośnie.

Rachel całe to zdarzenie, zamiast rozżalić, poprawiło trochę nastrój. Lubiła oglądać Ginny w dobrym humorze, chociażby dlatego, że obie były samiutkie na świecie. Oprócz siebie nie miały żadnych krewnych. Przed dziesięcioma laty, po śmierci matki Rachel, Ginny stała się dla niej drugą matką, a kiedy rok temu zmarł ojciec, Rachel nie wahała się ani chwili. Wiedziała, że chce być tylko z Ginny, swoją jedyną bliską krewną i najlepszą przyjaciółką. Fakt, że ciotka mieszkała w Chicago, nie był żadną przeszkodą. Rachel zawsze marzyła o życiu w wielkim, ekscytującym mieście, całkiem innym niż miasteczko w Karolinie Północnej.

Kiedy dzwonek u drzwi ponownie dał znać o sobie, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Czyżby Ginny zapomniała jednak wziąć z sobą pieniądze?

– Może powinnaś sobie przywiązywać je do nadgarstka! – zawołała,

wychodząc z zaplecza. – Albo wsadzić do stanika!

Niestety jej oczom wcale nie ukazała się korpulentna postać ciotki, tylko postać rodzaju męskiego. Był to jeden z tych napalonych głupków, czyli Frank Feeney o tłustych niczym serdelki palcach, który kiedyś już dobierał się do Rachel. Jego miła, choć głupawa narzeczona wyszła z butiku pół godziny temu.

Jęknęła w duchu. Tak, Rachel Grant jest skończoną idiotką, bo po wyjściu Cassie nie zamknęła drzwi na klucz.

– Przykro mi, Frank, ale butik jest już zamknięty. Cassie dawno stąd wyszła. Rozminąłeś się z nią.

I zjeżdżaj stąd, durniu! Migiem! Bo jeśli znów będziesz się dostawiać, dam ci takiego kopa w wiadome miejsce, że nakryjesz się nogami!

Niestety telepatia nie zadziałała. Frank przekroczył próg i nadzwyczaj starannie zamknął za sobą drzwi.

– Cassie już nie ma? To fatalnie... – Oblizał grube, kiełbasiane wargi, doskonale pasujące do tłustych paluchów. – W takim razie może pogadamy sobie chwilę...

Pogadamy. Ostatnim razem też sobie pogadali. Frank poprosił ją o pomoc. Chciał się upewnić, czy rzeczywiście jest zdolny dochować wierność jednej kobiecie, dlatego Rachel miała zrobić striptiz, a on chciał się przekonać, jak długo potrafi jej się oprzeć.

– Nie! – oświadczyła krótko. – Liczę do dziesięciu. Kiedy skończę, a ty nadal tu będziesz, zadzwonię do twojej narzeczonej. Powiem jej, za jakiego kretyna chce wyjść.

Zaczęła liczyć, najpierw szeptem, ale kiedy wcale niezrażony Frank zaczął zbliżać się do niej, nastawiła głos na ful.

– Trzy, cztery...

– Nie udawaj takiej wstydlivej – powiedział Frank i dalej szedł bardzo pewnym krokiem.

Rachel poczuła strach. Było późno, butik dawno zamknięty i nadzieja, że ktoś tu przyjdzie, właściwie nie istniała. Poza tym paliło się tylko światło na zapleczu, w sklepie panował półmrok. Szansa, że jakiś przechodzień zobaczy przez szybę, co dzieje się w środku, była raczej nikła.

– Osiem, dziewięć...

– Przecież i tak nie zadzwonisz, bo tak naprawdę to ty wcale nie jesteś taka niedostępna. Tylko udajesz.

Ona udaje?! Ach, ty palancie jeden...

Zaczęła gorączkowo macać z tyłu palcami kontuar w poszukiwaniu telefonu albo jakiejś broni, na przykład nożyczek.

Lepszy rydz niż nic.

Palce Rachel zacisnęły się na twardej podstawie plastikowej figurki.

Na wszelki wypadek uniosła nieznacznie kolano, przygotowując się do

piorunującej akcji, potem po raz ostatni zmierzyła Franka gniewnym spojrzeniem.

– Dziesięć!

Żenię się. Ja, Luke Santori, żenię się.

Sam nie mógł jeszcze w to uwierzyć. Za niecałe trzy tygodnie będzie mężczyzną żonatym, dokładnie – za dziewiętnaście dni. Ślub. Obrączki. Obie rodziny w ekstazie. Sala bankietowa wynajęta w „Knights of Columbus Hall”, udekorowana na biało, czerwono i zielono, żeby uhonorować włoską flagę. Uginające się stoły. Wazy włoskiej zupy weselnej, półmiski ravioli w pomidorowym sosie domowej roboty, włoskie wypieki. Confetti, czyli migdały w lukrze. Obie rozognione babki spierają się, która z nich robi lepsze brachiole. Panna młoda wyposażona oczywiście w borsę, czyli białą jedwabną torebkę, pęczniącą od kopert z gotówką. Tosty anisette, ciastka z kremem i Rudy Martinelli z łązką w oku, kiedy tańczy z Marią przy słodziutkiej, przyprowadzającej o mdłości piosence „Córeczka tatusia”.

Potem moment kulminacyjny. Didżej prosi, aby państwo młodzi stanęli twarzą do tłumu gości i drze się:

– Panie i panowie, pozwólcie, że przedstawię. Pan Lucas Santori z małżonką!

Łańcuch i kula, oto moja pieprzona noga...

Tak. Tak to teraz odbierał, kiedy w słoneczne majowe popołudnie szedł Taylor Avenue. Tylko tak, jak w tej głupawej piosence.

Po jaką cholerę oświadczył się Marii Martinelli? Kiedy właściwie się w niej zakochał?

I pytanie podstawowe: czy naprawdę się w niej zakochał?

To wszystko razem było jak sen. Koszmarny sen. Zaczęło się od randki w ciemno. Umówiono go z dziewczyną z sąsiedztwa, córką jednego z przyjaciół ojca. Luke nie opierał się, w końcu co mu szkodzi. Dziewczyna okazała się nawet miła. Przypominała mu kobiety z jego rodziny, sympatyczna, szczerą, wychowaną w poszanowaniu włoskich tradycji. Nie wzbudzała w nim wielkich namiętności, co wcale nie wydawało mu się złe. Była przecież porządną, katolicką dziewczyną, dlatego Luke nigdy się do niej nie dobierał. Choć teraz, z racji zbliżającego się ślubu, ten brak seksu wydawał mu się niemal przestępstwem, bo na pewno nie wróżyło to dobrze dla ich późniejszego pożycia.

Umawiali się na randki. Podobała mu się. Jego rodzina oszalała ze szczęścia, tak samo jej. A potem, sam nie do końca zdając sobie sprawę, co robi, wsunął Marii na palec pierścienek zaręczynowy.

Po czym ona natychmiast ze słodkiego dziewczęcia zmieniła się w jakieś monstrum. Narzeczonadzilla – od godzilli oczywiście.

– Joe, ty draniu, to twoja wina – wymamrotał pod nosem.

Bo fakt. Nie ulegało wątpliwości, że kiedy przyglądał się szczęściu małżeńskiemu swego starszego brata i bratowej, obecnie w błogosławionym stanie, w jego umyśle powstała bardzo wyrazista wizja czegoś podobnego. Z nim, z Lukiem, w głównej roli męskiej.

– I twoja, Tony...

Bo Tony, najstarszy z rodzeństwa, również był żonaty i również szczęśliwie. Z Glorią mieli już dwóch synków. Tony zarządzał pizzerią rodziców i wyglądało na to, że przede wszystkim on ze swoją rodziną kontynuować będzie styl życia Santorich.

Jakiś gość spojrział na niego z ciekawością. Na pewno słyszał, jak Luke mruzczał do siebie.

– Żenię się – wyjaśnił Luke, nieznacznie wzruszając ramionami.

Mężczyzna ze rozumieniem pokiwał głową i zanim poszedł dalej, też mruknął:

– Stary, moja rada jest krótka: nie rób tego. Czyli co? Uciec? Uciec od Marii?

Hm... Szczerze mówiąc, zabrzmiało to zachęcająco. Uciec przed rozhisteryzowaną, rozwrzeszczaną istotą, w jaką przed kilkoma tygodniami przeistoczyła się tamta spokojna dziewczyna o łagodnym, melodyjnym głosie, rozkochana we wszystkim, co włoskie.

Ale jak uciec przed jej groźnym ojcem, zwanym przez okoliczną ludność chicagowskim ojcem chrzestnym?

Samobójstwo.

Luke wiedział, że Rudy wcale nie jest prawdziwym mafioso, ale charakter miał trudny. Zatwardziały konserwatysta, bardzo zasadniczy, łatwo go było urazić. Nie był skłonny do wybaczenia.

Zakupy w tym całym butikiu z akcesoriami ślubnymi były najlepszym przykładem irytującego zachowania Marii. Zamówiła suknię, owszem, ale suknię trzeba było dopasować, a Maria na przymiarke nie miała czasu. Na przeszkodzie stanęła wizyta u dentysty. Ona w ogóle ostatnio ciągle latała do dentysty. Zanosilo się na to, że będzie miała więcej koron niż wszyscy Windsorowie razem wzięci.

Mogła zadzwonić do krawcowej i uzgodnić z nią inny termin, ale nie, zadzwoniła do Luke'a i poprosiła, by udał się do butikiu osobiście, ponieważ ona podejrzewa, że właścicielka butikiu jej nie lubi. I z tego to właśnie powodu Luke, zamiast posiedzieć sobie nad piwkiem w restauracji rodziców, gdzie po pracy wpadał bardzo często, przemieszczał się teraz ulicą do butikiu znajdującego się kilka domów dalej.

Z tego, co mówiła matka, krawcowa na pewno tam jeszcze będzie. One w tym butikiu mają mnóstwo roboty. Matka była dobrze poinformowana, ponieważ

cały klan Santorich szybko zaakceptował i polubił nową postać w okolicy, co Luke'a zdumiewało, bo ta dziewczyna z Południa o słodkiej twarzy była bardzo niepodobna do jego matki, siostry i bratowych. A one ostatnio nie mówiły o nikim innym, tylko o niej, o Rachel Grant. Przynajmniej przy Luke'u. Prawdopodobnie dlatego, że wołały przy nim mówić o niej, a nie o jego zbliżającym się ślubie z godzillą, w porównaniu z którą Cher jawiła się jako słodka, altruistyczna dziewczyna z sąsiedztwa.

– W co ja się wpakowałem? – szepnął, potrząsając głową. – A niech to...

Kiedy otworzył drzwi i zobaczył okrągłutką, jasnowłosą krawcową w objęciach opasłego faceta w brązowym garniturze, pomyślał, że ten dzień jest dla niego po prostu fatalny. Nie dość, że od rana bije się z nieprzyjemnymi myślami, to teraz w sposób brutalny przerwał tej parze słodkie sam na sam.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Luke, kiedy zobaczył Rachel Grant w objęciach mężczyzny, cały zeszytniał. Taki widok na ogół sprawia, że czujemy się głupio, a ktoś, kogo życie intymne w ostatnich miesiącach było wyjątkowo jałowe, czuje się głupio podwójnie. Niemniej to nie powód, żeby widok ów wzbudził gniew. W końcu Rachel Grant dla Luke'a była tylko miłą, ale daleką znajomą.

Lecz w nim po prostu się zagotowało. Przez krótką chwilę zastanawiał się, skąd u niego ta idiotyczna reakcja, klnąc jednocześnie w duchu na Marię, z powodu której znalazł się w tak niezręcznej sytuacji. Tych dwoje na pewno urządziło tu sobie schadzki. Facetowi nie ma co się dziwić, w końcu Rachel Grant była super z tą swoją nieprawdopodobnie kobiecą figurą, zdolną wstrzymać ruch uliczny. Poza tym miejsce na schadzki było całkiem niezłe. Pusty, spowity w mrok butik, w kącie manekin odziany w seksowną bieliznę...

Nagle obejmująca się para gwałtownie zmieniła pozycję. Ręka Rachel uniosła się, dojrzał w niej plastikową figurkę państwa młodych, taką, jaką ustawia się na szczycie weselnego tortu. Tą figurką Rachel rąbnęła z całej siły amanta w głowę. Pod wpływem uderzenia plastikowa para uległa gwałtownemu rozłączeniu. Pan młody wykonał krótki lot w kierunku stojaka z pantoflami i wylądował w jednym z nich, białym i atłasowym. Siedział teraz tam sobie, sztywny i wyprostowany jak drewniany żołnierz. Jego plastikowa oblubienica, połamana i ubrudzona czymś, co Luke szybko zidentyfikował jako krew, pozostała wśród jasnych włosów, porastających dużą głowę debila w brązowym garniturze.

W ciszy słychać było ciężki, gniewny oddech Rachel Grant.

I głośny jęk uszkodzonego.

– Uderzyłaś mnie! – zaskomlał.

– Ostrzegałam cię! – rzuciła gniewnie Rachel. – Teraz wynoś się stąd, zanim wezwę policję. I zadzwonię do twojej narzeczonej. Powiem, że niestety, ale nie jestem w stanie dalej zajmować się jej suknią!

– Ale ja krwawię!

Gość w brązowym garniturze ostrożnie dotknął palcem skroni, na której widniało zadrapanie minimalnej wielkości. Potem wyplątał z włosów plastikową pannę młodą i cisnął nią o podłogę.

– Przykro mi, że cię zraniłam... Frank – wysyczała Rachel. – Tylko zraniłam, a nie zabiłam.

Luke zacisnął szczęki, w skroniach zaczęło mu niebezpiecznie pulsować, w tym momencie bowiem uzmysłowił sobie, że nie był świadkiem potajemnego spotkania czułych kochanków. Do diabła, to była napaść!

– Będą musieli mnie zszyć – zajęczał znów facet w brązowym garniturze.

– Ciesz się, że nie mam tu noża do krojenia tortu, bo byś krwawił jak zarzynane prosię!

– warknęła Rachel.

Facet przestał jęczeć. Widać było, że jest coraz bardziej wkurzony. Zacisnął tłuste dłonie w pięści i pochylił się nad Rachel. Wyglądało to groźnie, dlatego Luke uznał, że najwyższy czas na interwencję.

– Zostaw ją, casanowo od siedmiu boleści!

– Jego głos był opanowany, spokojny, każdy jednak, kto znał go dobrze, wiedziałby od razu, że jest o krok od wybuchu. Luke nienawidził przemocy. Na co dzień miał do czynienia z różnymi mętami, w końcu na tym polega praca prokuratora, ale zawsze najbardziej wkurzali go ci, którzy znęcali się nad najślabszymi, a najczęściej chodziło o kobiety i dzieci. – Spróbuj jeszcze raz ją tknąć, a noc poślubną spędzisz na oddziale intensywnej terapii.

Dupek w końcu raczył go zauważyć. Najpierw odruchowo zaczął się stawiać, ale szybko zamilkł, gdy dostrzegł wściekłość w oczach intruza. Poza tym Luke nie należał do ułomków.

Rachel, westchnąwszy głęboko, wycofała się za kontuar. Bojowy nastrój ją opuścił. Uświadomiła sobie, że gdyby nie interwencja Luke'a, drań w brązowym garniturze naprawdę mógł jej zrobić krzywdę.

– Wszystko w porządku? – spytał Luke. Wcale nie, bo nogi pod Rachel wyraźnie się ugięły, nie czekając więc na odpowiedź, podszedł do niej i wziął mocno pod ramię. – Chcesz, żebym zadzwonił po policję?

– A ty się do tego nie mieszaj! – odezwał się napastliwym tonem Frank. – Nie twoja sprawa, a poza tym wcale nie było tak, jak ci się wydaje.

– Przeciwnie. Właśnie tak było – oświadczyła Rachel, odgarniając z twarzy długie pasmo jasnych włosów. Jej ręka drżała, jednak głos nie.

– Gdzie jest telefon? – spytał Luke. Napastnik natychmiast spuścił z tonu, w jego głosie pojawiła się rozpacz.

– Niech pan tego nie robi. Jest mi bardzo przykro. Po prostu źle odczytałem jej sygnały.

Plecy Rachel Grant natychmiast wróciły do pionu, wzrok zapłonął. Nawet jeśli przed chwilą trochę osłabła, to ta chwila minęła bezpowrotnie.

– Sygnały... – wysyczała. – A jakie niby sygnały masz na myśli? Czy to, że chyba już ze sto razy powiedziałam ci, żebyś się ode mnie odczepił? A w zeszłym tygodniu powiedziałam, że wolałabym wsadzić sobie do oczu rozgrzane do białości szpilki, niż mieć z tobą do czynienia!

Luke nie wtrącał się. Pozwolił Rachel wziąć sprawy w swoje ręce, bo była po prostu wspaniała. Większość napastowanych kobiet wpadłaby post factum w histerię lub zalałaby się łzami, natomiast Rachel trzymała się nadspodziewanie dzielnie.

Widział ją kilkakrotnie w restauracji rodziców. Nie sprawiła na nim



piorunującego wrażenia. Owszem, zauważył, że jest wyjątkowo ładna, a uśmiech ma urzekający i tak ciepły, że wszyscy naokoło natychmiast czuli się szczęśliwi, łącznie z Lukiem. Pomyślał wtedy, że gdyby nie był takim durniem i nie zaręczył się z kobietą, która nawet mu się już nie podobała – o miłości nie wspominając – kto wie, czy nie chciałby poznać bliżej Rachel Grant.

Teraz zobaczył ją dokładniej. Nie tylko gęste jasne włosy, ogromne oczy koloru nieba, śliczną twarz i opływowe kształty. Spojrzał głębiej. Zobaczył kobietę dzielną, która świetnie się sprawdza w sytuacji kryzysowej.

– Rachel, proszę, zrozum, po prostu mnie wzięło, ale ja kocham Cassie i nie chciałem nikomu zrobić krzywdy – jęczał spocony i zaczerwieniony Frank.

Zastanowiła się przez moment.

– W takim razie spadaj, ale już! Frank, masz trzy sekundy, a jak tu jeszcze będziesz, dzwonię pod 911.

Czyli dodatkowo kobieta, która potrafi wybaczać.

Freddy znikł w mgnieniu oka, nie dając prokuratorowi okazji, żeby go chociaż popchnąć. Przez krótką chwilę Luke zastanawiał się, czy pognać za nim lub zadzwonić do brata, Mark był przecież policjantem, powstrzymały go jednak od tego dwie rzeczy: po pierwsze, powód był dość idiotyczny, bo jakby taki... ambicjonalny. Facet wspomniał, że jest napalony, a Luke tuż przed ślubem czuł się jak lód.

A po drugie, głośny i nierówny oddech Rachel.

Mimo to najpierw pomyślał, że jednak powinien stąd wyjść, a Rachel w samotności powoli dojdzie do siebie. Nie wyszedł jednak. Nie pozwolił na to instynkt starszego brata. Gdyby jakiś drań napastował jego młodszą siostrę Lottie, Luke natychmiast rzuciłby mu się do gardła.

I takie rozdygotane stworzenie koniecznie trzeba pocieszyć...

Otworzył szeroko ramiona.

Rachel wcale nie była skłonna do hysterii, dlatego jej oczy nie szroniły się od łez. Była zszokowana całym zajściem, owszem, ale wcale nie spanikowana. Nie mogła tylko opanować tych przeklętych dreszczy przelatujących po plecach, w efekcie czego nogi też się trzęsły. Poza tym miała zdecydowane trudności z oddychaniem.

Okropna scena z tłustopalcym Frankiem wcale nie była niespodzianką. Drań przystawiał się nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy nie utrzymał łap przy sobie. I najgorsze koszmary nocne były niczym w porównaniu z obrzydliwym pocałunkiem grubych, obślinionych warg, które wyglądały jak dwa tłuste robale przyłączone do wędki.

Kiedy zaczynała pracę w butik, nie przypuszczała, że kiedyś będzie bronić się przed mężczyzną, który zamierza przysiąc miłość i wierność małżeńską tak miłej kobiecie jak Cassie. Na pewno też nie spodziewała się, że

tu, w tym butik, spotka się z większym zainteresowaniem ze strony mężczyzn niż kiedy pomagała ojcu w prowadzeniu pralni chemicznej w Karolinie Północnej. Ale niby dlaczego miała się tego spodziewać, skoro przez butik, oprócz klientek, przewijali się wyłącznie mężczyźni zdecydowani stanąć z owymi klientkami na tak zwanym ślubnym kobiercu?

Ci faceci powinni ulżyć sobie ze striptizerkami, które podczas wieczorów kawalerskich wyskakują z tortu, natomiast krawcowe dopasowujące ich narzeczonym suknie ślubne powinni zostawić w spokoju.

– Cicho, sza. Nie płacz, nie trzeba. Nikt już cię nie skrzywdzi.

Ciepły oddech rozdmuchał jej włosy nad skronią i połaskotał w policzek. Męski głos był cichy, kojący jak balsam. Nie płacz. A więc to dziwne, powolne dygotanie jej klatki piersiowej oznacza łkanie, i to prosto w solidną pierś mężczyzny, który przytulał ją do siebie.

Mężczyzna duży, twardy, ciepły. Absolutnie zachwycający.

Nagle pojęła to z całą ostrością. Uświadomiła sobie szerokość jego mocnego ciała w rozpiętej koszuli, dzięki czemu jej usta znajdowały się centymetr od nagiej, opalanej szyi. Nos wdychał ostry, męski zapach, a serce po prostu zwariowało. Poza tym – piersi. Kiedy Luke poruszył się i ich ciała delikatnie otarły się o siebie, miała wrażenie, że jej piersi nagle zrobiły się dwa razy cięższe, a kiedy jedna z nóg Luke'a wsunęła się między jej nogi, poczuła, że oblewa ją żar.

Natychmiast w duchu skonstatowała dwa fakty. Po pierwsze przebywanie w ramionach Luke'a Santoriego było czymś powalającym. I ona jest już powalona.

Chce go mieć, tego wspaniałego Luke'a. Tego ponuraka, który chyba jest zaadoptowany, bo w niczym nie przypomina swoich beztroskich, pogodnych braci.

A po drugie dlaczego zawsze myślała, że Luke jest zimny? Przecież jego ciało wydziela tyle ciepła, a tyle samo ciepła jest w jego kojących słowach. Szepcze, że już dobrze, że Rachel jest całkowicie bezpieczna...

Bezpieczna?! Wielki Boże, przecież trudno wyobrazić sobie sytuację bardziej ryzykowną! Luke to narzeczony nazistki, a Rachel klei się do niego jak striptizerka do tej swojej rury.

Dlatego szarpnęła się gwałtownie w tył.

– Rachel? – Powoli skinęła głową, przekazując mu bez słów, że czuje się dobrze, chociaż było absolutnie odwrotnie. On zaś pytał dalej: – Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym jednak zadzwonił po Marka?

– Marka?

– Mojego brata. Jest policjantem. Pracuje na posterunku niedaleko stąd.

– Nie, nie trzeba. Ze mną wszystko w porządku. Nie sądzę, żeby ten kretyn jeszcze kiedykolwiek tu się pojawił, zwłaszcza po tym, jak narzeczona

zacznie go wypytywać, skąd u niego ta szrama na głowie.

Nadal czuła jego bliskość. Ten mężczyzna stanowczo za bardzo ją pociągał, tym bardziej że był to mężczyzna, który w ogóle nie powinien jej pociągać. Dlatego przezornie oddaliła się od niego jeszcze bardziej, potem podeszła do stojaka i wyjęła z białego pantofelka biedną, sponiewieraną figurkę pana młodego.

– Rachel? Kto to był ten facet?

– Przyszły mąż jednej z moich klientek. – Uśmiechnęła się kwaśno. – I to wcale nie był odosobniony przypadek. Wielu przyszłych panów młodych uważa, że krawcowa jest ich ostatnią szansą, żeby jeszcze trochę zaszaleć. Przynajmniej tak wynika z moich obserwacji. Pewnie seks ze mną uważają za bardziej bezpieczny. Wolą to, niż ryzyko zarażenia się paskudną chorobą od striptizerki.

– Dlaczego więc nie masz tu żadnego alarmu?

– Nie mam, bo dotychczas były to tylko niewinne podrywy.

– Niewinne? Zawsze może dojść do takiej sytuacji jak dziś. Co by się stało, gdybym się nie zjawił?

– Och, mimo wszystko wcale nie czułam się tak serio zagrożona!

Póki nie zjawiłeś się ty...

– Znasz się na samoobronie, Rachel?

– Na przykład karate?

– Powiedzmy.

– W takim razie nie, ale potrafię kopnąć kolanem w odpowiednie miejsce. Umiiałabym też złapać faceta za gardło.

– Tymi rączkami? – Luke uśmiechnął się i złapał ją za rękę. – Rzeczywiście, zabójcza broń. Powinnaś je zarejestrować! Niestety, Rachel, ten cały Frank ma bardzo grubą szyję i tymi paluszkami nie dałabyś rady wymacać jabłka Adama. Lepiej by było wsadzić mu palec do oka!

– Wolę porządny kop w najbardziej wrażliwe miejsce! Ale co tam, głupie żarty. Przede wszystkim żal mi Cassie.

– Cassie?

– To jego narzeczona.

Nagle uzmysłowiła sobie, że palce Luke'a nadal ściskają jej palce. Ta świadomość sprawiła, że jej serce natychmiast zabiło nadzwyczaj dźwięcznie, dlatego też momentalnie cofnęła swoją rękę.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała zdyszczonym głosem. – Dobrze, że się tu zjawiłeś.

Skinął głową, dziękując za jej podziękowanie, potem przez dłuższą chwilę oboje milczeli, nie odrywając od siebie oczu. Luke patrzył na Rachel, jakby spotkał ją po raz pierwszy w życiu, ona natomiast gapiała się w niego jak sroka w gnat. Dokładniej w jego oczy, ciemnobrązowe, bardzo piękne, pełne blasku i ciepła. Mimo jej wcześniejszym podejrzeniom, wcale nie były zimne,

nawet nie chłodne czy letnie.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – spytał w końcu, wypełniając tę przydługą, choć wcale nie niezręczną ciszę.

– Naturalnie! – Odchrząknęła, ponieważ rozchwiane emocje zmieniły jej głos w jakiś głupi szczebiot. Tak przynajmniej jej się wydawało.

– Spotkaliśmy się już kilkakrotnie w restauracji twoich rodziców.

– Zgadza się, ale za każdym razem odnosiłem wrażenie, że po prostu mnie nie widzisz. Zawsze patrzyłaś w inną stronę albo szłaś do drzwi.

Cóż, taka była prawda. Unikała go, ponieważ ten konkretnie syn państwa Santorich – a mieli ich pięciu – wcale nie był tak wesoły i miły jak jego dwaj starsi bracia, szczęśliwie już żonaci.

Teraz jednak zaczynała podejrzewać, że unikała Luke'a z całkiem innego powodu. Był zbyt atrakcyjny. Stanowczo zbyt atrakcyjny jak na mężczyznę, który jeszcze w tym miesiącu ma wziąć ślub z inną kobietą.

Fakt, że pisano o nim w gazetach, wzbudzał w niej jeszcze większe zainteresowanie jego osobą. Luke Santori miał ugruntowaną pozycję w miejskiej prokuraturze. Media często wspominały o jego kruczatach przeciwko przestępcom, słyszała też niejedną pochwalny hymn na jego cześć z ust dumnych rodziców, którzy chlubili się swoimi synami walczącymi ze złem. Jeden był policjantem, drugi żołnierzem, a trzeci, czyli Luke, prokuratorem.

– Jak miewa się Maria? – spytała niby obojętnie i jednocześnie, żeby zająć czymś ręce, zaczęła przekładać papiery rozłożone na kontuarze. Jakieś paragony, formularze zamówień, kopie. Sama nie wiedziała co, bo literki i cyfry zlewały się w ciemne plamy, tak bardzo nie mogła się skoncentrować.

Luke nie odpowiadał. Gdy zaintrygowana podniosła głowę, sprawiał wrażenie, jakby całkiem stęzał, jakby o swojej narzeczonej nie potrafił mówić swobodnie. W sumie nic dziwnego, skoro owa narzeczona cieszyła się popularnością podobną do sławy przeciętnego seryjnego mordercy.

– Jest coraz bardziej zdenerwowana – powiedział wreszcie po dobrej chwili. – Prawdę mówiąc, dlatego tu jestem.

– O mój Boże! Tylko mi nie mów, że ślub odwołany, a ja zostaję z suknią za dwadzieścia tysięcy dolarów!

– Co?!

Rachel skrzywiła się, klnąc w duchu, że nie ugryzła się w język.

– Przesadziłam, Luke. Ale tylko odrobinę.

– Maria nie może przyjść jutro na przymiarke – poinformował.

Czyli odwołuje przymiarke po raz kolejny. Dziwnie, że Rachel wcale tym faktem nie była zdumiona.

– Niedobrze – powiedziała. – Suknię trzeba przymierzyć, upewnić się, czy dobrze leży i czy nie są potrzebne żadne poprawki. A z Marią jest wielki problem, bo co i rusz przekłada termin.

- Bardzo mi przykro.
- Chyba nie zapomniała, że ceremonia już za niecałe trzy tygodnie?
- O matko... Znów nie udało jej się powściągnąć języka.
- Chyba nie. O tym raczej trudno zapomnieć.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane tonem niemal żałobnym. Czyżby był to sygnał, że Luke Santori nie jest zachwycony nadchodzącym ślubem?

Może i tak, ale co z tego? Nawet jeśli to prawda, ona nie powinna w to się mieszać. Ale pocieszyć się zawsze można.

– Nie przejmuj się, Luke. Kiedy ten wielki dzień się zbliża, wszyscy dostają hopla. To normalne.

– Wiesz to z własnego doświadczenia? Jego wzrok przemknął ku jej lewej dłoni.

Rachel bezwiednie podkuliła swoje niezaobrączkowane palce.

– W pewnym sensie tak – mruknęła, pochylając głowę nad stosikiem paragonów z bieżącego dnia – choć to doświadczenie czysto zawodowe. Bo poza tym jestem wolna jak ptak.

Co ją podkusiło, żeby przekazać mu tę małą sensację? Boże, zmiłuj się nade mną! – pomodliła się rozpaczliwie w duchu. Cóż, pomoc Najwyższego bardzo by się przydała, bo przy tym człowieku kompletnie jej odbijało. Traciła rozum i gadała, co ślina na język przyniosła!

W przypadku Rachel Grant była to absolutna nowość, ponieważ w przemilczaniu swoich opinii stała się prawdziwą mistrzynią. Takie skrzywienie zawodowe, ponieważ to klientki zawsze mają rację. Także ta, która upierała się przy sukni bez ramiączek, chociaż płaska była jak deska i nie wiadomo, na czym miałyby trzymać się stanik sukni. Albo tłścioszka odżegnująca się od rękawów. Marzyła o ramiączkach, które wpijały się jej w sadło i w rezultacie wyglądała jak baleron.

Kiedy klientki pytały ją o zdanie, wyrażała się bardzo oględnie, a jeśli nawet to było niemożliwe, po prostu nie mówiła nic.

Uśmiechnął się.

– A więc nic dziwnego, że tak spodobałaś się mojej matce.

Och! Luke, kiedy się uśmiechał, wyglądał porywająco! Tak porywająco, że Rachel nie była w stanie pochylić głowy nad paragonami.

– Ja? Dlaczego?

– No cóż... Moja matka jest urodzoną swatką, a ma przecież synów do wzięcia.

– Czyli zaręczyny zerwane? – pisnęła. Niestety, dopiero po ułamku sekundy zorientowała się, że było to, mówiąc oględnie, kretyńskie pytanie.

Wzrok Luke'a jakby stwardniał.

– Miałem na myśli moich braci bliźniaków.

– Ach, oczywiście!

Jaskrawa, cukierkowa czerwień, taki był kolor jej pierwszego samochodu, a lakier dobrała na wzór swej ulubionej szminki. Teraz zapewne taki był kolor jej twarzy.

Luke to zauważył, rzecz jasna, i dlatego tak intensywnie gapił się na nią. Jego spojrzenie przemknęło po jej policzkach, włosach, uszmiłkowanych wargach. Potem spytał głosem jakby odrobinę mniej pewnym:

– A... dlaczego myślałaś, że chodziło o mnie? Mogła przekazać mu jedną z licznych prawd.

Pierwszą – zawiła. Wyznać, że uważa go za superfaceta. Chociaż jednocześnie, zachowując resztki przyzwoitości, starała się ze wszystkich sił wmówić sobie, że on wcale jej się nie podoba. Niestety, podobał jej się bardziej niż pozwalają na to granice wytyczone przez fakt, że w jego życiu istnieje inna kobieta.

Mogłaby też wykazać się rozbijającą szczerością i stwierdzić mniej więcej tak: „Moje przypuszczenie było całkowicie uzasadnione, mój drogi! Przecież zamierzasz poślubić monstrum”.

Naturalnie, skłamała.

– Och, wcale tak nie myślałam! Po prostu żartowałam!

Cóż, nie wypadło przekonywająco. Gorzej, bo wypadło tragicznie.

Znów pochyliła głowę nad paragonami i jakimś cudem udało jej się w końcu zsumować kilka liczb. Zebrała paragony, zrobiła z nich zwitek i zabezpieczywszy je recepturką, wsadziła do różowej koperty. Z kopertą w garści podeszła do półki za kontuarem zastawionej pudełkami po butach najrozmaitszej barwy, wielkości i stopnia zniszczenia. Odszukała pudełko na bieżący miesiąc i włożyła kopertę do środka.

Brązowe oczy Luke'a śledziły każdy jej ruch. – Ciekawa metoda przechowywania dokumentów – mruknął.

– Och! – Spojrzała na niego przez ramię. – A żebyś wiedział! Stara i sprawdzona. Chociaż teraz wprowadzamy pewną innowację. Jutro przywiozą wielkie biurko ze specjalnymi szufladami na skoroszyty. Wtedy wszystko to uporządkuję, choćbym miała skończyć. Ale przedtem czeka mnie mnóstwo roboty. Trzeba zrobić miejsce na biurko, czyli ruszyć wszystkie meble, poprzemnieść rzeczy...

Wcale nie dawała mu do zrozumienia, że przydałaby się pomoc. Absolutnie!

– Może mógłbym ci w czymś pomóc?

O matko... Oczywiście, że mógłby. Jego pomoc byłaby na wagę złota, ale wcale nie dlatego, że ona chciałaby, żeby on tu został czy coś w tym rodzaju. Nie. Po prostu przyda się każda para rąk, zwłaszcza takich dużych, silnych męskich dłoni podłączonych do cudownie rozbudowanych, umięśnionych przedramion i ramion...

Idiotka. Próbowwała oszukać samą siebie. Przecież to jasne, że kierowała się bardzo niskimi pobudkami. Żenująco wręcz niskimi. Dlatego...

Powiedz „nie”, Rachel! Powiedz „nie” i trzymaj się od niego z daleka, zamiast coraz bardziej się pogrążać – wyła rozpaczliwie w duchu.

Niestety jej język nie po raz pierwszy tego dnia zadziałał samodzielnie, bez żadnej współpracy z mózgiem.

– Naprawdę?! Och, dziękuję! Jak to miło z twojej strony!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rachel naprawdę potrzebowała pomocy. W ciągu kilku następnych godzin Luke powtarzał to sobie w duchu wielokrotnie, a były to, warto nadmienić, godziny wypełnione ciężką pracą. Najpierw opróżnili i poskładali kartony, potem stary regał przesunęli w inne miejsce i poprzestawiali rzeczy na kilku półkach, dzięki czemu udało im się w końcu wygospodarować wolną przestrzeń w niewielkim pokoju stanowiącym zaplecze.

Bardzo niewielkim. Już dwie osoby czyniły w nim tłok, w tym przypadku tłok wielce niebezpieczny.

– Och, przepraszam... – wymamrotała Rachel sekundę potem, jak poślizgnąwszy się na skrawku koronki, wpadła z całym impetem na Luke'a.

To właśnie była niebezpieczna strona tego tłoku.

– Wszystko w porządku – powiedział przez zaciśnięte zęby. Kłamał, naturalnie, bo nic nie było w porządku, absolutnie pod żadnym względem. Z powodu braku miejsca co chwilę ocierali się o siebie, a każdy taki króciutki kontakt fizyczny, niby niewinny i wymuszony sytuacją, po prostu nim wstrząsał, a szczerze mówiąc – podniecał. W rezultacie nie mógł się doczekać, kiedy Rachel znów otrze się o niego ręką, barkiem lub biodrem, albo kiedy odrzuci w tył te swoje długie, jedwabiste włosy, a on poczuje na twarzy przyjemny powiew...

W pokoiku zrobiło się gorąco. W sumie nic dziwnego, kiedy w tak małym pomieszczeniu kręcą się dwie dorosłe osoby. Na pewno nie spowodowały tego inne czynniki – promienny uśmiech Rachel, jej niski, gardłowy śmiech, skrzące się spojrzenie błękitnych oczu albo ten leciutki południowy akcent, jakże uroczy...

Nie, na pewno nie to.

Tak przynajmniej to sobie tłumaczył, choć zastanawiał się dalej, ponieważ dotąd jeszcze nigdy nie reagował równie mocno na obecność drugiego człowieka. Dopiero dziś – na obecność Rachel.

A ślub za niecałe trzy tygodnie. Niech to wszyscy...

Powinien wziąć przykład z tamtego palanta w brązowym garniturze. Po prostu zniknąć, a nie trwać tu i pakować się w nieoczekiwane kłopoty. Pograżać się coraz bardziej, chociaż wcale nie był napalonym panem młodym, którego po prostu rozsadza. Nie. Był tu, bo ta jasnowłosa kobieta naprawdę mu się podobała. Naprawdę.

Kiedy zrobili już ostatnią wycieczkę na zaplecze, spytał:

– Mówiłaś, że kupiłyście sobie jakiś nowy mebel, tak? – A gdy skinęła głową, dodał: – Trzeba będzie go złożyć?

– Tak. – Sceptycyzm w jego oczach musiał być aż nadto widoczny, bo



Rachel przyjęła postawę bojową. Wyprostowała się, rękę oparła na biodrze, głowę odchyliła w tył. – Potrafię posługiwać się podstawowymi narzędziami.

Spojrzała w bok. Luke podążył za nią wzrokiem, tam, gdzie stało pudełko z narzędziami. Hm, narzędziami... Pewnie pochodziły z dziecięcego sklepu z działu „Poniżej jednego roku”, w każdym razie trzyletni bratanek Luke’a w swojej skrzyni z zabawkami miał znacznie solidniejsze młotki czy śrubokręty, a ich zestaw został kupiony w dziale „Od trzech do pięciu lat”.

– To są właśnie te narzędzia?

– Tak. Dam sobie radę – oświadczyła stanowczo, potem ton jej głosu nieco zelżał. Zapewne nie chciała wyjść na niewdzięcznicę. – Bardzo dziękuję ci, Luke, za pomoc. Nie musiałeś tego robić...

Cóż, przerabiali to już kilkakrotnie.

– Dlaczego nie? Sam chciałem, poza tym ostatnio z powodu mojej rodziny nieraz pracowałeś po godzinach.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz...

– O tym, że moja rodzina często nie potrafi podjąć błyskawicznej decyzji.

– A, rozumiem! – Zachichotała. – Chodzi ci o cztery różne fasony sukien dla drухen? Trzy odcienie różowego? Dwa rodzaje stroików na głowę?

– I gruszki na wierzbie. Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Nie jest tak źle, Luke. Przecież każdy ślub jest trochę jak...

– Jak tortury?

– Och nie! Jak ładowarka. Ładuje ludzi energią.

– Coś w rodzaju krzesła elektrycznego?

– Przestań! Nie wolno być takim pesymistą!

– Pesymistą! W tym przypadku jestem raczej niepoprawnym optymistą.

– Ach tak... – Przybrała odpowiednio zniesmaczoną minę. – No dobrze, niech już będzie. Masz swoje ostatnie słowo, mężczyzno!

– I tak powinno być, kobieto!

Znów się roześmiali. Luke w skrytości ducha musiał przyznać, że w towarzystwie tej jasnowłosej istoty czuje się świetnie. Od dawna nie było mu tak przyjemnie.

Jaka szkoda, że to nie ją spotkał pół roku temu...

– Mam nadzieję, że biurko nie będzie za duże – powiedział, spoglądając na pusty krąg, jaki udało im się wygospodarować na zapleczu.

– Jest ogromne! – oznajmiła Rachel, ale wcale nie wyglądała na zmartwioną. – Jestem pewna, że ciotka będzie chciała wykorzystać je jako stół krawiecki, ale do tego nie dopuszczę. To będzie nasze biuro, tylko i wyłącznie. Zawsze w idealnym porządku. Po prostu stanowisko pracy profesjonalistki.

Brwi Luke’a powędrowały sceptycznie do góry. Nie potrafił się powstrzymać. Miał już przecież okazję zobaczyć na własne oczy inne biuro, w pudełkach po butach, i jakoś trudno mu było sobie wyobrazić Rachel Grant za

biurkiem, na którym panuje wzorowy porządek.

Doskonale wyczuwając jego sceptycyzm, spochmurniała.

– Jestem osobą świetnie zorganizowaną i nadzwyczaj sprawną w interesach – stwierdziła wyniośle. – Jestem prawdziwą bizneswoman.

– Powiedzmy...

– Naprawdę jestem dobrze zorganizowana. Uwielbiam porządek.

Spojrzenie Nicka mimo woli spoczęło na stosach czasopism dla par młodych w jednym kącie, po czym przesunęło się do drugiego kąta zavalonego kartonami. Przedmioty te wcale nie zostały tam umieszczone w trakcie dzisiejszych prac aranżacyjnych.

Spojrzenie Rachel również przemknęło po obu wspomnianych kątach, po czym głośno wypuściła powietrze, zdmuchując z twarzy pasmo jasnych włosów. Taki miała nawyk. Robiła to zawsze, kiedy była czymś przejęta albo zdenerwowana. Luke zdążył to już zauważyć i za każdym razem nie mógł oderwać od niej oczu. Zdmuchiwała włosy jak jakąś niepotrzebną przesłonkę, a przecież były to pasma szczerego złota, na pewno bardziej miękkie i delikatne niż suknie z najcieńszego jedwabiu wiszące w tym butik...

Chrząknął, nakazał sobie dyscyplinę i skupił się na sprawach bieżących, to znaczy na tym, co mówiła Rachel.

– Dobrze, niech ci będzie – oświadczyła mianowicie. – Dobra organizacja nigdy nie była moją mocną stroną, Ginny zresztą też, jednak ojciec nauczył mnie bardzo dużo o księgowości i zarządzaniu. Gdybyś zajrzał do naszych ksiąg, byłbyś pod wrażeniem.

– Czyli całkiem coś innego niż panujący tu bałagan? Taki, że człowiek się zastanawia, czy przypadkiem nie nastąpi na jakiegoś trupa?

– Bardzo śmieszne! – Rachel zrobiła odpowiednio obrażoną minę, ale oczy jej się śmiały. – Dżentelmen od siedmiu boleści!

– Niestety, nigdy nie byłem zbyt szarmancki.

– Przynajmniej jesteś szczerzy, a to już jakiś plus, jednak moim zdaniem z was wszystkich największym dżentelmenem jest Joe. Zawsze taki uprzejmy i delikatny.

– Joe?! – Luke omal nie wybuchnął śmiechem. – Przecież on lubi zgrywać się na twardziela. Gdyby dowiedział się, jaką mu wystawiłaś laurkę, chyba by się powiesił.

– Tak? W takim razie jak to się dzieje, że Meg z nim wytrzymuje?

Fakt. Meg, od roku żona Joego, nie tylko z nim wytrzymała. Uważała go za swoją drugą połowę. I vice versa.

– Masz rację, coś w tym jest, ale abstrahując już od mojego brata... Wydaje mi się, że dziś pokazałem ci się z lepszej strony.

Rachel jęknęła głośno, udając ogromne zażenowanie.

– Och, przepraszam! Oczywiście! Byłeś cudowny, wspaniały... – Przez

krótką chwilę patrzyli sobie w oczy. Powietrze – i tak duszne – jakby jeszcze bardziej zgęstniało. W końcu Rachel odchrząknęła. – Cała twoja rodzina jest wspaiała, Luke, a twoje bratowe i twoja siostra Lottie są prawdziwymi aniołami.

Nie oponował, pozwalając zejść na temat bardziej bezpieczny. Przecież nie było żadnego powodu, żeby raptem zaczęli oceniać siebie nawzajem w kategoriach cudowności.

– Dziękuję. Rzeczywiście są świetne.

– I pełne determinacji. Gloria mówiła, że jeśli nie uda jej się pozbyć nadwagi po ostatniej ciąży, nałoży cztery pasy wyszczuplające, i absolutnie nie wolno mi zamówić sukni drużny o numer większej niż ta, którą miała na sobie przed ciążą.

– Cała Gloria! Nie ustąpi. Już taka jest, dominująca, jak prawdziwa starsza siostra.

– Ma prawo dumnie nosić głowę. W końcu urodziła już Tony’emu dwóch synów. Zdaje się, że to ta właśnie para kontynuować będzie waszą rodzinną tradycję?

– Na to się zanosi. Kto wie, czy też nie spłodzą pięciu synów. Boże, miej ich w swojej opiece!

– Nigdy nie słyszałam, żeby twoi rodzice skarżyli się z tego powodu. Przeciwnie, twoja matka często powtarza, że w całym Chicago nikt nie ma takich synów jak ona. Nie narzekaj, Luke, naprawdę dobrze jest mieć rodzeństwo. Ja jestem jedynaczką... – Nagle posmutniała. – Mój ojciec zmarł w zeszłym roku, mama wiele lat temu. Jedyłą moją bliską krewną jest teraz ciotka Ginny. Matkowała mi po śmierci mamy i jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką.

Luke skinął głową. Przez chwilę nie odzywał się, żeby uszanować jej smutek, jednak potem, pragnąc poprawić nastrój, rzucił żartobliwie:

– Brak rodzeństwa ma swoje dobre strony. Na przykład kwestia ubrań. Jestem młodszy od Joego o rok, na szczęście zawsze dorównywałem mu wzrostem, dlatego dzinsy przechodziły na Marka albo Nicka.

Wzmianka o wzroście spowodowała u Rachel natychmiastową reakcję. Jej wzrok bezwiednie przemknął po całej postaci Luke’a, po prostu omiotła go od stóp do głów. Wynik musiał być pozytywny, i to nawet bardzo, bo jej usta rozchyliły się, potem czubkiem różowego języka zwilżyła równie różowe wargi. Luke omal nie jęknął. Atmosfera znów gęstniała. Niestety, każda próba prowadzenia zwyczajnej rozmowy towarzyskiej kończyła się tak samo. Wzajemny pociąg dawał znać o sobie. Absolutnie wzajemny.

Czyli najwyższy czas się wycofać. Dość ukrywania się za słowami, śmiechem czy biurkami. Pora wracać do rzeczywistości.

Przeprosił ją, machnięciem ręki skwitował kolejne, gorące podziękowania

i uczynił to, co było konieczne: po prostu wyszedł.

– Jeszcze tylko troszkę, zaraz będzie dobrze... – Gloria Santori, z twarzą czerwoną jak burak, z trudem wydobywała spoza zaciśniętych zębów świszczące dźwięki. – Jeszcze tylko centymetr. O tak! Tak!

– Na litość boską, Glorio, uspokój się! Zachowujesz się, jakbyś grała w jakimś pornosie!

Zjadliwa uwaga Lottie, siostry Luke'a, wywołała salwę śmiechu. Śmiali się wszyscy obecni w przymierzalni. Nawet sama Gloria, uparcie próbująca zmieścić się w swojej sukni, zachichotała. Bo tak właśnie wyglądała ta przymiarka, trwająca całe popołudnie. Było wesoło i hałaśliwie, co chwila jakiś głupi żart i ogólnie cudowna atmosfera, jak zawsze, kiedy człowiek przebywał wśród klanu Santorich.

Rachel mogłaby patrzeć na nich godzinami. Dziś konkretnie na część żeńską klanu, w tym na Glorię, której twarz z powodu braku tlenu zaczynała już sinieć. Cóż, z uporem godnym lepszej sprawy po raz kolejny próbowała zasunąć do końca zamek błyskawiczny w zbyt obcisłej sukni, z której absolutnie nie chciała zrezygnować. Niedaleko Glorii siedziała pani Santori, ubrana w jasną letnią suknię w kwiaty, w której wyglądała stanowczo za młodo jak na matkę szóstki dorosłych już dzieci. Pani Santori zawsze nosiła eleganckie suknie – w innym stroju Rachel nigdy jej nie widziała – i ozdabiała się patriotyczną biżuterią. Teraz, na przykład, główka ozdobnej szpilki, wpiętej w suknię, była w barwach narodowych słonecznej Italii.

Obok pani Santori rozsiadła się w pozie bardzo niedbałej Lottie, jej jedyna córka. Ciemnowłosa i czarnooka, jak reszta włoskiej rodziny, twarz na szczęście odziedziczyła po matce. Okrągła, o łagodnych rysach i promiennym uśmiechu, chociaż zjadliwy humor i obszarpane ciuchy świadczyły, że mimo słodkiej buzi ta dziewczyna to niezły numer.

Meg, żona Joego, siedziała na jednym krześle, o drugie opierając opuchnięte nogi. Wszystkie bieżące wydarzenia obserwowała ze słodkim uśmiechem Madonny, co pewien czas delikatnie masując swój wzdęty brzuch, pewnie zanosząc niemą prośbę do dzieciątka: „Proszę, zostaw moje nerki w spokoju i wyciągnij nóżkę pomiędzy żeber mamusi”.

Obie babki Luke'a, jedna z jego ciotek i dwie kuzynki były na przymiarce już wcześniej. Żadna z tych pań nie należała do orszaku weselnego, dlatego tych przymiarek dokonano błyskawicznie.

Jedna tylko osoba się nie stawiła, a mianowicie panna młoda. Za którą, szczerze mówiąc, jakoś nikt specjalnie nie tęsknił.

– Glorio! Na litość boską! – wykrzyknęła zniecierpliwionym głosem pani Santori. – Przecież w końcu puszcza szwy! Zgódź się wreszcie, żeby Rachel trochę poszerzyła suknię. Chociaż o centymetr.

Lepiej o cztery... Jednak Rachel, co oczywiste, trzymała buzię na kłódkę.

– Przecież metka zostanie ta sama – wtrąciła Lottie. – Jakby ktoś pytał, pokażesz. Proszę bardzo, rozmiar osiem.

Gloria spojrzała pytająco na Rachel, która skwapliwie pokiwała głową.

– Oczywiście! Lottie ma sto procent racji, metka zostaje ta sama. A co do rozmiaru... Dobrze znam ten fason i zauważyłam, że rozmiary są trochę zawyżone...

Nareszcie. Ostatni argument podziałał. Gloria, ku uldze wszystkich, zaprzestała rozpaczliwych prób zaciągnięcia zamka i rozpięła go do samego końca, potem odetchnęła głęboko, a jej twarz odzyskała normalny kolor.

– Chwała Bogu... – wydyszała. – A ja już miałam zamiar zastosować środki przeczyszczające.

– Ależ Glorio! – Pani Santori dyskretnie uczyniła znak krzyża. – Przecież to może zaszkodzić dziecku!

Gloria, zanim odpowiedziała, odwróciła się do niej plecami, ponieważ Rachel, wyposażona w taśmę krawiecką i szpilki, przystępowała do dopasowywania sukni.

– Przecież już od miesiąca nie karmię piersią – powiedziała Gloria i uśmiechając się do odbicia Rachel w lustrze, dodała półgłosem: – Nasz Mikey ma już sześć miesięcy, a Tony nie należy do najbardziej cierpliwych facetów pod słońcem.

– Ej, słuchajcie! – rozległ się donośny głos Lottie. – A dlaczego właściwie Maria dziś tu nie przyszła?

Pani Santori zacisnęła usta.

– Ma wizytę u dentysty – wyjaśniła po chwili.

– Co?! Nie wierzę! Panna młoda woli kanałowe leczenie od przymiarki sukni ślubnej! – Pani Santori mruknęła coś, Meg zakaszłała, ale Lottie wcale nie miała zamiaru zamilknąć: – Och, dajcie spokój, przecież wszystkie doskonale wiemy, że ona jest tak samo zainteresowana tym małżeństwem jak ja zachowaniem dziewictwa aż do zamążpójścia!

Pani Santori chwyciła złoty krzyżyk wiszący na szyi i wzniosła oczy ku niebu.

– Lottie!

– Przepraszam, mam... Ale ta cała Maria tylko wydziwia. Niedawno słyszałam, jak domagała się, żeby wesele wcale nie było tradycyjne. Żadnych włoskich potraw ani ciast. Ona chce wszystko zamówić w ostatniej chwili w jakiejś francuskiej firmie cateringowej.

Pani Santori zbladła, usta ponownie zacisnęła, tym razem w wyjątkowo wąziutką kreseczkę.

– Nasze śluby wyglądają inaczej!

– Jasne! – Lottie potrząsnęła głową z wielką dezaprobatą. – A wiecie co?

Może spójrzmy na to wszystko z innej strony. Gdyby ona dziś tu przyszła, miałybyśmy spażane popołudnie.

– Lottie! Jak możesz tak mówić o narzeczonej brata!

– Przepraszam, mamó, ale po prostu mówię, co myślę. Poza tym zdaje się, że my wszystkie tutaj myślimy podobnie. A co, może nie?

– Rozejrzała się, dając pozostałym paniom szansę na protest.

Jednak wszystkie panie milczały. Pani Santori, Gloria i Meg.

Rachel, zajęta suknią, nawet nie mrugnęła okiem. Oczywiście, że nie włączała się do rodzinnej dyskusji, za to mocno nadstawiała ucha. Po prostu płonęła z ciekawości, czemu nie sposób się dziwić.

Maria, sądząc po jej braku zainteresowania suknią ślubną, chyba rzeczywiście nie była specjalnie przejęta swoim ślubem, a rodzina Luke'a wcale nie wydawała się z powodu tego ślubu tryskać radością...

Pozostawało jeszcze jedno pytanie. Jaki stosunek do zbliżającego się ślubu ma ta druga najważniejsza osoba, czyli pan młody?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia Luke starał się w ogóle nie myśleć o Rachel Grant, doskonale zdając sobie sprawę, że dumanie o innej kobiecie, nie zaś o narzeczonej, i to tuż przed ślubem, jest całkowicie nie na miejscu, a także nadzwyczaj niebezpieczne.

Niestety skończyło się na pobożnych życzeniach, bo Rachel konsekwentnie tkwiła w jego głowie. Jej uśmiech, niski, odrobinę zachrypnięty głos, lekkie, wdzięczne ruchy. Oczy pełne ciepła, kiedy mówiła o ludziach, których darzyła sympatią – jak na przykład o rodzinie Luke’a. Stanowczość w jej głosie, kiedy mówiła o użyciu swoich delikatnych palców jako zabójczej broni w walce z takimi nachalnymi dupkami jak ten debil w brązowym garniturze.

– Kobieto, uciekaj z mojej głowy... – szepnął cicho Luke, zajeżdżając suwem pod restaurację rodziców.

Powtarzał to sobie już wielokrotnie, lecz bez żadnego skutku. Rachel nie opuszczała jego głowy, fundując mu bezsenną noc, potem towarzyszyła w pracy, utrudniając koncentrację. Jego współpracownicy kładli to oczywiście na karb przedślubnego zdenerwowania i w sumie mieli rację, bo myśli Luke’a krążyły wokół ślubu, i owszem, ale w całkiem innym kontekście. Zastanawiał się bardzo serio, czy nie popełnił monstrualnego błędu, oświadczając się niewłaściwej kobiecie, a tę, która być może byłaby właściwa, spotkał teraz, czyli kilka miesięcy po powyższych oświadczeniach.

Taki dylemat może bez reszty zaprzątnąć czyjaś uwagę, prawda?

Dlaczego Rachel nie poznał najpierw?

Lub też, patrząc na to inaczej, po co w ogóle ją spotkał?

Ależ tak, bo fakt bliższego poznania Rachel uważał za zdecydowanie negatywny. Pogarszał tylko sytuację, zwłaszcza w takim dniu jak ten, kiedy prawie cały ranek wisiał na telefonie, dyskutując z Marią, która oświadczyła, że mierzi ją już to wszystko, co wiąże się ze ślubem, od stołu weselnego począwszy, poprzez suknię ślubną, na muzyce kończąc. W kwestii jedzenia i muzyki ustąpił, ale jeśli chodzi o suknię, to nie, wysuwając słuszny argument, że na zamówienie innej jest już stanowczo za późno.

Pod tym względem był nieugięty, bo tak między Bogiem a prawdą martwił się nie tyle o narzeczoną, notabene bliską załamania nerwowego, ale o Rachel. Drżał bowiem na myśl, jak rezygnacja z sukni za dwadzieścia tysięcy dolarów wpłynie na kondycję jej małej firmy?

– Patrz przed siebie, Luke – mruknął, wysiadając z samochodu. – Dziesięć kroków do markizy, potem jeszcze kilka i już znajdziesz się w środku, w pizzerii, gdzie czekają rodzice, bracia i tłumek stałych gości.

Niestety, jego wzrok miał własną koncepcję, mianowicie samorzutnie skierował się w lewo, przemknął kilka domów dalej i zatrzymał się na butiku dla przyszyłych nowożeńców. Przed butikiem stał wóz dostawczy, a jakiś mężczyzna w firmowej kurtce wciągał do środka wózek z wielkim kartonowym pudłem. Luke natychmiast przypomniał sobie o nowym biurku. Otóż najpewniej właśnie je przywieziono, więc dzisiejszy wieczór Rachel spędzi znów w swoim sklepie, próbując za pomocą młoteczka i śrubokręcika z zestawu dziecięcego „Do jednego roku” zmontować mebel ważący o wiele więcej niż ona sama.

– To nie twój biznes, Luke!

Ale cóż, nogi zdecydowały, że i tak poniosą go w niepowołanym kierunku. Kiedy konsekwentnie oddalał się od pizzerii, rodziców, braci i tłumu stałych gości, złożył sobie w duchu obietnicę, że nie będzie wchodzić do środka, spojrzy tylko ukradkiem przez szybę i sprawdzi, czy Rachel zorganizowała sobie jakąś pomoc. Tylko jedno spojrzenie, żeby ocenić sytuację.

Niestety jedno spojrzenie wystarczyło, aby przekonać się, że Rachel z nowym biurkiem toczy samotną walkę. Luke omal nie jęknął, kiedy zobaczył, jak niewysoka jasnowłosa kobieta sama próbuje przeciągnąć ów olbrzymi karton, który ważył co najmniej dwa razy więcej niż ona.

– Oszalała... – mruknął, zaklął cicho i otworzył drzwi.

Rachel natychmiast poderwała głowę. Na jej twarzy widać było konsternację. Zrozumiałe, zważywszy na wypadki poprzedniego wieczoru, których zaczynem był debil w brązowym garniturze.

Jednak na widok Luke’a Santoriego jej twarz powinna się wypogodzić, tymczasem wcale tak się nie stało. Przeciwnie, widać było jeszcze większą konsternację. Zaraz też Rachel opuściła głowę, kryjąc twarz za pasmami złocistych włosów. Oczy przestoniła firanka rzęs.

– Zdaje się, że jednak potrzebujesz pomocy.

– Ciotka chciała zostać ze mną, ale bałam się, że zrobi sobie krzywdę, dlatego powiedziałam jej, że ktoś mi pomoże.

– Zgadza się. – Zaczął podwijać rękawy eleganckiej koszuli. – Rachel! Dlaczego po zamknięciu sklepu nie zamykasz drzwi na klucz?

– Właśnie chciałam to zrobić, ale najpierw trzeba zabrać stąd ten karton. Facet zostawił go na samym środku.

– Rozumiem... Natomiast ty uważasz siebie za siłacza, który jednym palcem wciągnie ten karton na zaplecze... – Pochylił się i przesunął karton kawałeczek, sprawdzając ciężar, a następnie chrząknął. Drewniane elementy ważyły co najmniej sto kilo. – Dlaczego ten facet sam tego nie zrobił?

Cichutki dźwięk, jaki wydała z siebie Rachel, można było określić jako superdelikatne chrząknięcie.

– Bo... bo ten karton tam się nie mieści.

– Aha.



Luke przykucnął i spojrzął w stronę korytarzyka prowadzącego na zaplecze. Faktycznie, za wąski, tego pudła tędy nie przepchniesz.

– Próbowałam otworzyć karton – poinformowała cichym głosem Rachel. – Potem miałam zamiar wnieść biurko na zaplecze tak... po kawałeczku.

– Po kawałeczku. Rozumiem, a zarazem zastanawiam się, czy jednak nie powinnaś pozostać przy swoim starym, sprawdzonym systemie pudełek po butach.

Potem, dając ostatecznie do zrozumienia, że bierze sprawy w swoje ręce, rozdarł tekturę i zaczął wyciągać drewniane elementy.

– Chryste... Czy to jest instrukcja? – wykrzyknęła Rachel, kiedy z kartonu wypadło coś, co wielkością przypominało książkę telefoniczną miasta Chicago.

– Wygląda na to, że tak – powiedział Luke.

– Aha... No cóż... Czyli jedyna nadzieja w tym, że masz tak zwane złote ręce.

Owszem. Ręce miał bardzo sprawne, inne części ciała również. Czuł, że wszystkie pałają ochotą zaprezentowania się tej jasnowłosej kobiecie, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

Z tą niewinnością to chyba przesadził, bo na twarzy Rachel ponownie, choć na bardzo krótko, pojawiła się konsternacja. Na pewno dotarło do niej, że jej słowa można było zrozumieć jako aluzję, a całkiem niewinna osoba nigdy by na to nie wpadła.

– Mam nadzieję, że jesteś dobry w...

W sypialni? O, bez żadnych wątpliwości!

– ...w posługiwaniu się narzędziami?

– Oczywiście. Potrafię posługiwać się tym i owym...

Znów aluzja, i to szyta grubymi nićmi. Cholera! Zgłupiał kompletnie, jakby za wszelką cenę chciał zaciągnąć tę kobietę do łóżka! Niestety, nie panował nad sobą, tym bardziej że konsternacja znikła z twarzy Rachel, a w jej oczach zapaliły się prowokujące iskierki. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to, co się teraz dzieje, to w pewnym stopniu już podryw.

– I co? – prawie szepnęła czy też zamruczała jak kotka. – Chwalono cię za to. Po jej różowych wargach błąkał się uśmiezek, który przyspieszył akcję serca Luke'a.

– Nie ukrywam, że w przeszłości nasłuchiwałem się komplementów.

W przeszłości, bo na pewno nie ostatnio. W minionym półroczu jego aktywność seksualna była zerowa, co może i w jakiś sposób tłumaczyło, dlaczego tak mocno reagował na Rachel. Bardzo mocno, mimo że przecież nic się nie działo. Po prostu gadali sobie jak para dobrych znajomych.

Gadali sobie... Bzdura. Ich rozmowa dawno wykroczyła poza ramy zwykłej towarzyskiej paplaniny, była bowiem specyficznym nacechowana. To oczywiste, że weszli na bardzo niebezpieczne terytorium i oboje doskonale

zdawali sobie z tego sprawę.

– No cóż... – Rachel spojrzała na długi wieszak, na którym wisiało multum sukien ślubnych. – Z takiego męża Maria będzie miała prawdziwą pociechę.

– Może... – mruknął Luke, podejmując jednocześnie w duchu decyzję, zapewne zresztą jak najbardziej słuszną. Samodzielne złożenie biurka nie przerastało jego możliwości, ale kolejny wieczór sam na sam z Rachel mógł okazać się brzemienny w skutkach. Jego zainteresowanie tą kobietą było przecież ewidentne, choć on na pewno nie zamierzał zachować się jak tamten debil w brązowym garniturze.

– Myślę, że trzeba wezwać posiłki. – Wyjął z kieszeni komórkę. – To biurko jest idealnym wyzwaniem dla całego klanu Santorich.

Najpierw zadzwonił do Joego, który, jak to człowiek życzliwy całemu światu, obiecał w drodze do domu zajrzeć do butiku.

– Trafiony – powiedział Luke i wystukał kolejny, znany dobrze numer.

– Po kogo teraz dzwonisz? – spytała szeptem Rachel.

– Teraz po żarcie. Jestem głodny. Może być pepperoni z zielonym pieprzem?

– Tak, ale pamiętaj, ja płacę.

– Chyba żartujesz. Chcesz, żeby moi rodzice oddali mnie pod sąd?

– W takim razie zamówmy a Chińczyka!

– Rachel, miej Boga w sercu! Matka na pewno się dowie, że zamówiłem chińszczyznę! Tego nie da się przed nią ukryć, uwierz mi. A wtedy wiesz, co mnie czeka? Matczyne kazanie, długie, solidne, co najmniej godzina na jednym oddechu! – Na jego twarzy ukazała się zgroza. – Albo jeszcze gorzej – dodał dramatycznym szeptem. – Przez jakiś czas traktować mnie będzie jak powietrze.

Rachel zachichotała. Błękitne oczy roziskrzyły się w popołudniowym słońcu, które zaglądało przez frontowe okna sklepu.

– Dobrze, Luke, niech będzie pizza, ale w takim razie ja biegnę do sklepu po zgrzewkę piwa.

– W porządku, możesz to zrobić, bo rodzina Santorich nie dostarcza piwa, ale kup lepiej dwie zgrzewki. Mam przeczucie, że jak rozniesie się wieść o robocie, przy której można pobawić się narzędziami, zaraz zjawi tu się cały tłum.

Rachel kupiła nie zgrzewkę czy dwie, ale po prostu cały karton piwa, zawierający tych zgrzewek całkiem sporo. Okazała się bardzo przewidująca, bo w ciągu niecałej godziny w butiku zgromadziła się spora liczba osób. Ojciec Luke'a, dwóch braci Luke'a, jedna ze szwagierek i siostra. Ciekawe, kto w rezultacie został w restauracji. Wychodziło na to, że tylko pani Santori i jedna z kuzynek, która pracowała w kuchni.

Jak zawsze familia Santorich była bardzo głośna i wesoła. Bracia Luke'a nieustannie wyrażali głęboki żal, że pan prokurator nie potrafi obchodzić się z wiertarką. Luke w odwecie za tak straszną zniewagę groził im. sądem. Ojciec nie wtrącał się, obserwował tylko wszystko spod oka, uśmiechając się pobłaźliwie i coś tam sobie mamrotał, naturalnie po włosku.

Rachel, która nigdy nie miała rodzeństwa, była trójką braci po prostu zafascynowana. Najstarszy Tony próbował przejąć dowództwo, ale Joe, właściciel firmy budowlanej, nie dopuścił do tego i sam wyznaczył siebie na brygadzystę. Potężnej budowy Tony realizował się więc w podnoszeniu i dźwiganiu, Luke natomiast, jako prawnik i w ogóle człowiek bardzo wykształcony, w udzielaniu porad i czytaniu instrukcji. Ze swych potężnych mięśni też jednak zrobił użytek, włączając się do noszenia, choć najcięższe rzeczy pozostawiał innym.

Trzy damy, Rachel, Meg i Lottie, stały sobie z boczku i gawędziły, popatrując, jak mężczyźni wynoszą na zaplecze wszystkie elementy biurka. Potem była przerwa. Uraczono się pizzą, popito piwa i przystąpiono do montażu. Panie gawędziły dalej. Rachel rozmawiało się bardzo miło, jednak cała jej uwaga skupiona była na Luke'u. Nigdy go jeszcze takim nie widziała, wesołego i całkowicie rozluźnionego. Praca fizyczna zdecydowanie sprawiała mu przyjemność. Najpierw nosił elementy, potem rozdał braciom narzędzia. Cały czas śmiali się i dogryzali sobie nawzajem, a Rachel po raz pierwszy zauważyła, że w policzku pana prokuratora, kiedy się uśmiecha, pojawia się dołeczek.

Tak, teraz to był prawdziwy Luke. Uroczy i wesoły, który cmoknął Meg w policzek w precyzyjnie wybranej chwili, to znaczy gdy wchodził jej mąż. Naprawdę trudno było w nim rozpoznać tamtego sztywnego, nieobecnego duchem mężczyznę, którego Rachel widywała w pizzerii, chociaż od samego początku wydawał jej się bardzo atrakcyjny. Ale teraz, rozbawiony i podrywający szwagierkę, był po prostu powalający.

– Zobaczycie! Oni potem będą tacy dumni, jakby własnoręcznie ścięli drzewo i zrobili to biurko – powiedziała ze śmiechem Lottie, sięgając po następną butelkę piwa.

Meg piła mleko.

– Nie szkodzi, niech mają swoje pięć minut. Joe ciągle narzekał, że zajmuje się tylko papierkami, a lubi popracować rękami.

Właśnie, ręce. Silne, męskie, zręczne, kompetentne. Rachel nie mogła oderwać od nich oczu. Meg reagowała dokładnie tak samo.

– Mój Boże, mogłybyśmy sprzedawać babkom bilety – mruknęła, wpatrując się w pokój pełen testosteronu zajętego robotą.

Spojrzenie Meg skierowane było na jej męża. Spojrzenie Rachel na mężczyznę obok. Wiadomo, na kogo. Na mocne ręce Luke'a, wyłaniające się z

podwiniętych rękawów koszuli, na kropelki potu na napiętej skórze i wiele innych ekscytujących detali.

– Jak zaczną pękać na nich koszule, wychodzę stąd – oświadczyła Lottie.

– Nie wytrzymam. Obie gapicie się na nich jak sroki w gnat.

Obie... Rachel zarumieniła się. Ciekawe, co myślą sobie Lottie i Meg, kiedy widzą, jak ona pożera wzrokiem facetów, z których żaden nie jest wolny.

– Och, Lottie! – zachnęła się Meg. – Dla ciebie to tylko twoi bracia, ale chyba sama widzisz, że wyglądają odlotowo!

Kochana siostrzyczka w odpowiedzi zrobiła zabawną minę, a Rachel zrobiła głęboki, pełen ulgi wdech. Prawdopodobnie Meg i Lottie są przekonane, że po prostu obserwowała sobie facetów przy pracy, nie wyróżniając żadnego. Traktują to lekko, ot, jeszcze jeden dobry powód do żartów.

Chwała Bogu! Bo tak właśnie powinno być. Zwykła obserwacja, żadnych podtekstów. Rachel nigdy by się nie zdobyła na wkroczenie na terytorium innej kobiety.

Dlaczego więc nie potrafi oderwać wzroku od narzeczonego Marii Martinelli? Czy dlatego, że on teraz też wpatruje się w coś z wielkim zainteresowaniem?

Wyteżyła wzrok. Luke przyglądał się stercie próbek materiałów na stole krawieckim. Patrzył przez dobrą chwilę, a potem, nieświadomy, że jest obserwowany, wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał materiał leżący na samym wierzchu. Połyskujący jedwab w kolorze moreli, delikatnym jak lekko zarumieniona skóra.

Przymknął oczy, lekko rozchylił wargi i nabrawszy głęboko powietrza, zanurzył palce w chłodny, miękki jedwab. Na chwilę. Potem położył dłoń na materiale, rozpostarł palce i ścisnął, chwytając materiał w garść. Po jego ustach przemknął półsenny uśmiech. Znowu rozpostarł palce. I otworzył oczy.

Nikt, oprócz Rachel, tego nie zauważył. Tylko ona wpatrywała się w Luke'a szeroko otwartymi oczami. Kiedy przechwycił jej wzrok, wcale nie spojrzął w bok ani nie zaśmiał się, żeby pokryć zmieszanie.

Nie, po prostu patrzył na Rachel, wcale nieskrępowany faktem, że przed sekundą ujawnił przed nią bardzo istotną część swojej osobowości. Był zmysłowym mężczyzną. Mężczyzną, który czerpie ogromną rozkosz z doznań fizycznych.

Patrzył przez chwilę, potem jeszcze raz pogłaskał skrawek materiału. Dotknął martwego przedmiotu, oddalonego od Rachel co najmniej o dwa metry, a jej zabrakło tchu. Miała wrażenie, jakby palce Luke'a dotykały jej nagiej skóry. Pieściły...

Na moment przymknęła oczy, czując gorącą duszną rozkosz. Kiedy uniosła powieki, błysk ciemnobrązowych oczu powiedział jej więcej niż słowa. Luke myślał i odczuwał to samo, wiedziała to bez cienia wątpliwości.

Niespodziewanie, jak przez mgłę, usłyszała wesoły głos Meg:

– Szkoda, że nie robią tego w pomieszczeniu od frontu, bo zaraz na ulicy ustawiałyby się kolejka. Kazałybyśmy babkom płacić za możliwość zajrzenia przez okno.

Rachel wepchnęłaby się do tej kolejki pierwsza. Zapłaciłaby słono za możliwość napatrzenia się na Luke'a do woli. Każdą cenę za nasycenie oczu wszystkim, co kryje się pod świetnie skrojonym garniturem i powściągliwością pana prokuratora. Zmysłowy mężczyzna. Mężczyzna, który obudził w Rachel wszystkie kobiece instynkty, a uczynił to jednym zmysłowym dotknięciem skrawka jedwabiu.

Jakżeby chciała być tamtym skrawkiem...

– Rachel?

Potrząsnęła mocno głową, żeby oprzytomnieć. Luke zrobił literalnie to samo. Zauważyła to kątem oka, odwracając się do jego szwagierki. Meg spojrzała na nią trochę dziwnie. Podejrzliwie? Trudno... Pewnie jednak zauważyła, że Rachel obserwuje Luke'a w sposób szczególny, a nie taki tam sobie.

Pozostało tylko nadrabiać miną. Rachel zmusiła się do uśmiechu i błysnęła dowcipem:

– Nie miałam jeszcze przyjemności poznać bliźniaków, Marka i Nicka, ale sądzę, że ukazanie się piątki młodych Santorich z nagimi torsami na Taylor Avenue oznaczałoby poważne zakłócenia w ruchu ulicznym.

– Nie przesadzaj! – Lottie prychnęła pogardliwie. – Na całym świecie nie ma bardziej wrednych i zarozumiałych facetów niż ta właśnie piątka!

– Domyślam się, Lottie, że niełatwo jest być najmłodszą z rodzeństwa, tym bardziej jeśli ma się wyłącznie braci. Czy którykolwiek z chłopaków odważył się odwiedzić cię w domu?

– A skąd! Spotykam się tylko na mieście! Żaden z moich kolegów nigdy nie przestąpił progu naszego domu. A wiesz dlaczego? Bo Mark i Nick rozpowiedzieli po całej szkole St. Raphael, że Mario Puzo inspirował się moim tatą, kiedy tworzył postać Ojca Chrzestnego. Mój rodzony tata pierwowzorem gangstera! A ja tak myślę sobie, że jeśli już ktoś z naszej rodziny miałby stać się taką inspiracją, to na pewno Luke z tym swoim podłym charakterem. Wykapany Sonny, bez dwóch zdań!

Luke, który słyszał wszystko, wybuchnął śmiechem.

– Bredzisz, Lottie! Ja nadawałbym się raczej do roli kochanka!

– Faktycznie – przyznała Meg. – W tym przypadku stawiałabym na Nicka, przecież on służy w marynarce wojennej.

– A ja też jestem typem kochanka – oświadczył Tony. – Kto nie wierzy, niech zapyta Glorii!

– Chwileczkę, mówiliście o Ojcu Chrzestnym, tak? – wtrącił niewinnym

głosem Joe.

– Czyli o Rudym Martinellim, przyszłym teściu Luke'a?

Luke natychmiast przestał się śmiać. Zesztywniał, tak samo Rachel, która nagle powróciła do rzeczywistości. Bardzo miło jest przebywać w towarzystwie tej dużej, hałaśliwej i przesympatycznej rodziny, ale odrobina dystansu ze strony panny Grant jak najbardziej jest wskazana. Bo to nie ona, lecz Maria Martinelli powinna być teraz tutaj razem z nimi, śmiać się, kiedy bracia żartują z Luke'a i rozmawiać sobie miło ze swoją przyszłą szwagierką.

Wszystko było nie tak, a już zwłaszcza epizod związany ze skrawkiem jedwabiu.

Reakcje tego typu należy dusić w sobie w zarodku. Bezwarunkowo. A przede wszystkim jak najszybciej wyrzucić z pamięci obraz Luke'a, głaszczącego jedwab.

Co, niestety, może okazać się niemożliwe.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Joe, powiedz mi jedno... Czy po podjęciu decyzji o małżeństwie nie zastanawiałeś się potem, czy ta decyzja na pewno jest słuszna?

Luke spokojnie pociągnął łyk piwa, jakby pytanie, które zadał obojętnym głosem, wcale nie dotyczyło nadzwyczaj istotnej kwestii.

Siedzący vis-a-vis po drugiej stronie stolika Joe nie ociągał się z odpowiedzią:

– Oczywiście, że nie. Wiedziałem, że chcę to zrobić i już. A dlaczego pytasz?

– Po prostu byłem ciekaw. Ty i Meg pobraliście się w ekspresowym tempie.

– Niby tak, ale nawet gdyby nie działo się to tak szybko, nie sądzę, żebym się nad czymkolwiek zastanawiał. Po prostu kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, byłem pewien na sto procent. To znaczy kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ją na własne oczy, bo przedtem widziałem jej zdjęcie...

Joe wyraźnie się zapalał, ale Luke nie podjął tematu. Nie miał teraz głowy do wysłuchiwanie po raz kolejny ckliwej historyjki o tym, jak jego brat oszalał z miłości, bo Luke'a pochłaniały własne problemy.

Po pracy on i Joe jak zwykle wpadli na chwilę do restauracji, zresztą nie po to, żeby coś przegryźć, tylko po to, by trochę pobyć z rodziną. Meg też miała tu się wkrótce zjawić, Gloria i Lottie przyszły wcześniej i siedziały teraz w kuchni. Mark z kolei miał przyjąć zdecydowanie później, ponieważ musiał zostać dłużej na posterunku z powodu jakiejś bardzo skomplikowanej sprawy.

Bracia zwykle rozsiadali się przy jednym stoliku i nalewając sobie piwa z dzbana, upajali się poczuciem przynależności do ludzi, których styl życia zakładał codzienne przebywanie w gronie rodzinnym.

Zabawne, że Luke kiedyś próbował od tego uciec. Jako jedyny spośród braci Santorich wyjechał do college'u, potem zaskoczył wszystkich, decydując się na studia prawnicze. Teraz jednak, gdy już wrócił do Chicago, upajał się bliskością szalonej rodziny, choć kiedyś wściekał się na nich i do college'u wyjeżdżał z niewysłowioną ulgą. Niestety, jak się okazało, wcale nie był to początek nowego, wspaniałego życia. Bardzo szybko zaczęło brakować mu najbliższych, a było ich całe mrowie, czego zazdrościli mu koledzy, którzy najczęściej pochodzili z rodzin model dwa plus jeden lub z rodzin rozbitych.

Po jakiejś godzinie towarzystwo rozpierzchało się. Każdy wracał do swojego życia, do swojego domu, z reguły gdzieś w pobliżu, ale te krótkie rodzinne zloty w restauracji rodziców były czymś, na co Luke naprawdę czekał.

Zastanawiał się, czy po ślubie razem z Marią będą kontynuować tę tradycję. Jakoś trudno mu było sobie wyobrazić Marię w eleganckim kostiumiku

sekretarki, jak wpada tu prosto po pracy, jak obejmuje serdecznie panią Santori, jednocześnie odpowiadając wesoło na zaczepki jego braci, potem dosiada się do wspólnego stolika i włącza do rozmowy. Ta Maria, która ostatnio oświadczyła, że klopsika już do końca życia nie weźmie do ust.

Ta obecna Maria była zupełnie niepodobna do jego rodziny, tak na wskroś włoskiej, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynął sos pomidorowy. Natomiast Maria czuła odrazę do wszystkiego, co włoskie, a fakt ten okazał się dla Luke'a wielkim rozczarowaniem, jako że zainteresował się tą kobietą głównie ze względu na jej włoskie korzenie.

– Czyli po prostu masz pietra przed tym ślubem – stwierdził Joe. – W sumie nic dziwnego, facetom prawie zawsze puszcza nerwy, kiedy pomyślą, że będą teraz przypisani do jednej kobiety. Wielu z nich próbuje jeszcze gorączkowo zaszaleć. Taki łabędzi śpiew...

Jak te bubki przystawiające się do Rachel... Luke przypomniał sobie debila w brązowym garniturze i zeszywniał. Cholera, a niewiele brakowało, żeby i on, Luke, zrobił z siebie podobnego durnia...

– Uważam – ciągnął Joe – że jeśli facet naprawdę się zakocha, to wcale się nie zastanawia, czy potrafi być wierny. Po prostu sam tego chce. A w naszej rodzinie kursują geny wierności.

Fakt. Najlepszym dowodem na tę może nie do końca naukową tezę było nadzwyczaj udane małżeństwo rodziców, jak i równie udane związki dwóch najstarszych synów, Joego i Tony'ego. Czyli coś musiało być z tymi genami, może naukowcy kiedyś to sprawdzą. W każdym razie Luke swojej zdolności do małżeńskiej wierności absolutnie nie kwestionował. Był pewien, że potrafi do końca życia kochać jedną tylko kobietę i być z tym szczęśliwy.

Niestety, tą kobietą miała być Maria Martinelli, a on ostatnio przed oczyma miał wciąż twarz Rachel Grant.

Znów usłyszał głos brata:

– Coś jeszcze ci powiem, Luke. Rodzice starali się wychować nas na uczciwych facetów, więc jeśli małżeństwo z Marią ani cię ziębi, ani grzeje, to rzeczywiście się zastanów, czy żenisz się z właściwą kobietą. A jeśli wyjdzie ci, że nie, to co zamierzasz z tym fantem zrobić?

Luke przez moment wpatrywał się w swojego brata.

– Masz rację, Joe, bo nad tym właśnie muszę się zastanowić.

Wymazanie Luke'a Santoriego z pamięci było zadaniem niełatwym, mimo że Rachel starała się o to usilnie. Nie udawało się, choć w maju w butikku panował szalony ruch i naprawdę miała czym zająć głowę. Mnóstwo czerwcowych panien młodych stawiało się na przymiarki. Nie przyszła tylko jedna, mianowicie Maria Martinelli. Ale może to i lepiej. Rachel nie wiedziała, czy po tych wszystkich fantazjach i marzeniach byłaby w stanie spojrzeć tej



kobiecie w oczy, nie rumieniąc się przy tym jak piwonია.

Fantazje. Marzenia. Długie bezsenne noce wypełnione nieustannym odtwarzaniem w pamięci tej chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że jej zainteresowanie Lukiem zmieniło się w zwyczajne pożądanie.

Luke delikatnie, niemal z czcią dotyka miękkiego, połyskliwego jedwabiu. Napotyka wzrok Rachel. I on, i ona myślą o tym samym. O dotykaniu czegoś innego, równie delikatnego i miękkiego. I ciepłego...

– Matko święta! Dość! – szepnęła z rozpaczą, zatrzymując się przed jednym z wielkich regałów w markecie z książkami. Tak. Była właśnie tu i było to żałosne. Piątkowy wieczór, wieczór randek, Rachel Grant spędza w gigantycznej księgarni i popijając przez słomkę lodowate frappuccino, szuka czegoś do czytania, co odwróciłoby jej uwagę od tematu, który stanowczo powinien być dla niej tabu.

Jeden z działów ominęła szerokim łukiem. Był to oczywiście dział z romansami. Wszystko, tylko nie to. Żadnych kłopotów sercowych, wzdychań i obściskiwań na papierze. Jak wsadzi w to nos i zacznie czytać, rozpali się jeszcze bardziej, co oznaczałoby prawdziwą tragedię, bo w jej życiu nie zanośliło się na żadną zasadniczą zmianę. Prawdopodobnie nie będzie w nim grama seksu przez następne dziesięciolecie, a przynajmniej do chwili, gdy nie znajdzie sobie jakiejś innej pracy, w której nie będzie spotykać wyłącznie zajętych facetów.

Tak. A na razie powinna unikać wszystkiego, co związane jest z seksem. Żadnych romansów, po prostu skupi się na morderstwach i innego rodzaju przestępstwach, a jeszcze lepiej na książkach w ogóle oderwanych od rzeczywistości. Science fiction i temu podobnych.

Wbiła wzrok w regał, sącąc jednocześnie przez słomkę zimny napój, dziwne więc, że nagle w środku poczuła ciepło. Klimatyzacja w wielkim sklepie działała bez zarzutu, a Rachel po prostu zaczynało robić się gorąco. Mięśnie zeszytywniały, z oddychaniem był kłopot. Jakby całe ciało biło na alarm.

Ktoś ją obserwował. Po prostu czuła na sobie czyjś wzrok, co wcale nie było sytuacją komfortową.

Odwróciła się i wolnym krokiem zaczęła przemieszczać się do następnego regału, naturalnie zerkając na boki. Nikogo. Czyli fałszywy alarm. Czyli może jednak nie brać się do pochłaniania rozmaitych fiction.

– Bo wtedy zaczniesz mieć przywidzenia, dziewczyno – wyjaśniła sobie szeptem. – Jak teraz...

– Nie. To nie przywidzenie.

O matko! To on! Luke! Wyszedł zza regału z prawej strony. Luke Santori w innym opakowaniu. Zwykle widywała go w eleganckich garniturach i koszulach, dlatego dzinsy i obcisły T-shirt były niespodzianką. I to jaką niespodzianką! Szata rzeczywiście może zdobić człowieka. W tym przypadku znoszony T-shirt i wąskie, wystrzępione dzinsy...

– Cześć – szepnęła i odchrząknęła, co w pewnym stopniu pomogło jej odzyskać pewność siebie. – Co za dziwny przypadek!

Luke uśmiechnął się, prezentując ów dołeczek w policzku, który Rachel zdążyła już kiedyś przyuważyć, oraz siateczkę zmarszczek wokół oczu. I natychmiast, jak za naciśnięciem guzika, wszystkie racjonalne powody, nakazujące trzymać się od tego człowieka z daleka, wywietrzały jej z głowy.

– Często mówisz do siebie, Rachel?

– A ty często szpiegujesz znajomych po księgarniach?

– Wcale nie szpiegowałem.

– W takim razie co tu robisz? Twarz Luke'a nagle spoważniała.

– Ja? Po prostu próbuję ukoić swoje nerwy. Och... Ukoić? No proszę. To mówi bardzo wiele, czyż nie tak?

Ale udawała, naturalnie, idiotkę.

– Przepraszam, nie rozumiem...

Niczego nie wyjaśnił, tylko spojrział na nią tak jakoś... poufale i położył palec na jej ustach. Krzyknęła, cicho oczywiście, byli przecież w księgarni, ale trudno było w tej sytuacji nie krzyknąć.

– Śmietanka – powiedział Luke, odejmując palec od jej ust.

Tak, śmietanka, a jeśli już o jedzeniu mowa, to jej nogi są jak z galarety.

Luke spojrział na jej plastikowy kubek.

– Podobno mają tu niezłe frappuccino. Może też sobie kupię?

– Polecam. Jest naprawdę dobre. Dlatego tu przychodzę.

– Tylko dlatego? Książki się nie liczą?

– Jasne, że się liczą. Uwielbiam czytać. Pod tym względem jestem po prostu uzależniona. Czytam wszystko. Sensację, powieści gotyckie, science fiction. Czasami erotykę.

– O!

– Tak dokładniej, to romanse, Luke. Nie chodzi mi o dokładne opisy tych rzeczy.

– A co, nie lubisz... tych rzeczy? Ratunku! – krzyczała w duchu. Błagam, czy jest tu ktoś, kto może mnie zastrzelić?!

– Och, nieważnie! – Machnął lekceważąco ręką, co można było zrozumieć dwojako. Albo była mu doskonale obojętna i nie interesowało go, czy niejaka Rachel Grant lubi spać sama czy w towarzystwie co najmniej dziesięciu osób. Albo odwrotnie, był nią bardzo zainteresowany, wołał jednak zejść ze śliskiego tematu.

Oczywiście głosowała za wariantem drugim.

– A co ty tutaj robisz, Luke, w piątek wieczorem? Gdzie jest Maria?

Nieznacznie wzruszył ramionami.

– Jak zwykle. Wizyta u dentysty. Dziwne. Był przecież piątek, ósma wieczór.

– Wiem, wiem – dodał, oczywiście dostrzegając sceptycyzm w jej oczach.  
– Jej dentysta przyjmuje do bardzo późna ze względu na tych, którzy długo pracują.

– Rozumiem. Poświęca im piątkowe wieczory. Czyli ma tak samo żałosne i nudne życie jak ja. I ty...

– Ja? Żałosne i nudne?

– Och nie, przepraszam. Ty rzecz jasna nie, chyba że w piątkowy wieczór wchodzi ci w drogę dentysta...

Tego dentystę należałoby ozłocić, przecież to dzięki niemu Luke przynajmniej chwilowo pozbawiony jest narzeczonej. I tak miło się z nim rozmawia. A byłoby jeszcze milej, gdyby przysiedli sobie we dwoje na jakiejś kanapie, których tutaj jest mnóstwo, i nagadali się do syta. O wszystkim. O tym, co lubią czytać, co lubią pić, o różnych smakach cappuccino, o wielkich biurkach i o wielkich włoskich rodzinach.

I o seksie. Czemu nie?

– Podpowiesz mi, jakie zamówić cappuccino? – spytał Luke i spojrzął na jej pusty kubek. – Może tobie też przynieść? Potem możemy usiąść w jakimś zacisznym miejscu albo w kawiarence. Dasz się namówić? Pogadamy o książkach, poza tym jestem bardzo ciekaw, co sądzi twoja ciotka Ginny o nowej metodzie przechowywania dokumentów.

– Niestety, Luke. Jedyna nowość, jak na razie, to przemieszczenie pudełek po butach. Ustawione zostały na biurku. To wszystko.

– A mówiłaś, że jesteś najlepiej zorganizowaną kobietą pod słońcem!

– Kłamałam.

Zaśmiał się głośno i serdecznie, zwracając tym uwagę kilku osób. Jakaś kobieta, stojąca przed regałem z bestsellerami, spoglądała na Luke'a wyjątkowo długo. Rachel zeszywniała. Skąd taka reakcja? Przecież Luke dla Rachel był tylko zwyczajnym znajomym.

Nie, to stanowczo nie była zazdrość. Wykluczone. Przecież nie miała prawa być o niego zazdrosna.

A jeśli... Och nie, tylko nie to! Przecież byłby to najbardziej namacalny dowód, że Luke Santori zaczyna wkraczać do serca Rachel Grant!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W nocy Luke nie spał zbyt dobrze, prawdę mówiąc, ta noc była głównie bezsenna. Dlaczego? Bo był bardzo zajęty odtwarzaniem w pamięci każdej minuty, jaką spędził z Rachel Grant.

W kawiarence siedzieli kilka godzin, a wyszli ostatni na nieśmiałą prośbę skonanych po całym dniu pracowników, którzy w tym czasie zdążyli już wszystko posprzątać i pozamykać.

Rozmawiało im się genialnie, jakby znali się od zawsze. Jedno za drugiego mogło śmiało dokończyć zdanie. W rezultacie Luke opowiedział jej nawet o czymś, o czym jeszcze z nikim nie rozmawiał, czyli o swoich mieszanych uczuciach wobec rodziny Santorich. Jak nie mógł już z nimi wytrzymać i wyjechał z Chicago na kilka lat. Po prostu uciekł od nich, ale tylko po to, żeby następnego dnia już za nimi tęsknić.

Rachel też otworzyła się przed nim. W miarę jak opowiadała, w jej głosie coraz wyraźniej słychać było śpiewny, południowy akcent. Mówiła o swoim dzieciństwie i pierwszych młodzieńczych latach spędzonych w Karolinie Północnej, a także o zmarłym ojcu, którego bardzo jej było brak.

Ale chwila melancholii nie trwała długo. Znowu przerzucali się żartami, docinali sobie i pochłonęli więcej bitej śmietany niż w ciągu ostatnich pięciu lat. Luke wiedział już, że Rachel lubi czytać, wiedział, czego się boi, jakie są jej ulubione filmy, jakie ma poglądy polityczne i kiedy ma urodziny.

Dziwne, że o kobiecie, z którą ma wziąć ślub dokładnie za dwa tygodnie, wiedział co najmniej o połowę mniej...

Rozmyślał o tym bez przerwy, kiedy w sobotę przed południem usiadł przy stoliku w restauracji rodziców. Wspominał wczorajszy, jakże uroczy wieczór. Niestety, uroczy tylko do pewnego momentu.

Bo nagle wszystko się popsuło. Odprowadzał Rachel do jej samochodu. Nie chciał, żeby szła sama, było już przecież dobrze po północy. Wziął ją za rękę, ot tak, po prostu. Wydawało mu się czymś całkiem naturalnym, że ich palce splecione są z sobą, a ich biodra i nogi ocierają się o siebie.

Tak samo naturalny wydał mu się pocałunek na dobranoc. Omal tego nie zrobił. Omal. Przecież się nachylił i odgarnął Rachel z czoła pasmo jasnych włosów. Kiedy poczuł jej słodki zapach, pomyślał, że jeśli jej teraz nie pocałuje, to trafi go szlag.

A potem oboje zdali sobie sprawę, co robią. Rachel podniosła rękę i szepnęła:

– Nie. Proszę, nie rób mi tego.

Najpierw tylko przełknął, głęboko wstrząśnięty, że w jej głosie słychać było tak wielki żal.

– Przepraszam. Ja wcale...

– Wiem, Luke. Wiem, że wcale nie jesteś niewyżytym facetem, który pragnie zaszaleć tuż przed ślubem. Dlatego tym bardziej nie posuwajmy się za daleko. Poprzestańmy na tym, że dziś po prostu mieliśmy okazję poznać się trochę bliżej. To wszystko. Fakt, że jestem wolna i pod ręką, potraktujmy jako nieistotny.

Jej słowa były jak kubeł zimnej wody. Bo ona jednak pomyślała o nim coś, co wynikało z doświadczenia z dupkiem w brązowym garniturze, a mianowicie, że Luke, zanim zwiąże się z inną kobietą, chce sobie dać jeszcze trochę luzu.

– A ja, Luke, mówiąc szczerze, jestem trochę za bardzo wyczulona na ciebie. Na pewno bardziej niżbym sobie tego życzyła. Niestety, absolutnie nie nadaję się do żadnych gier, dlatego dziś powinniśmy sobie powiedzieć nie tylko dobranoc, ale także żegnaj.

Wyrzuciła to z siebie drżącym głosem, wskoczyła do samochodu i odjechała niemal z piskiem opon, nie dając Luke'owi żadnej szansy na odpowiedź.

Jego pierwszą reakcją był gniew, bo jak by na to nie patrzeć, Rachel oskarżyła go o pogrywanie z jej uczuciami. Jednak gniew szybko minął. Miała przecież prawo podejrzewać, że on jest jednym z tych narzeczonych, co się do niej przystawiają. Czy dał jej jakikolwiek dowód, że traktuje ją o wiele poważniej? Bardziej poważnie, niż sam myślał? Z czego zdał sobie sprawę właśnie w ten piątek, wieczorem...

Nie, nie wiedziała o tym, ale wszystko da się naprawić, dlatego wyciągnął komórkę, zadzwonił do Marii i poprosił, żeby spotkała się z nim dziś, w porze lunchu, w restauracji Santorich. Miejsce może i nie najszcześniejsze, miało jednak jedną niewątpliwą zaletę: była tam pani Santori. Jeśli Maria zacznie wrzeszczeć albo histeryzować, matka będzie wiedziała, jak ją uspokoić.

Prawdopodobnie Maria dostanie szału, bo Luke w końcu zrozumiał, czego tak naprawdę chce.

Na pewno nie małżeństwa z Marią.

– Ej, co z tobą, chłopie? Coś się stało? Wszystko w porządku?

Poderwał głowę i zobaczył swego najstarszego brata.

– W porządku? Zależy, jak do tego podejść, Tony.

Jak na razie nic nie było w porządku, ale Luke przynajmniej wiedział, czego nie ma zamiaru zrobić. Brać ślubu z Marią. Tylko co będzie potem?

Nad tym zastanowi się później. Najpierw trzeba coś zrobić z tymi bezsensownymi zaręczynami, a zarazem, szanując wolę Rachel, trzymać się od niej z daleka. Za to potem, kiedy sytuacja się wyjaśni... to się zobaczy. On w każdym razie miał nadzieję, że coś jeszcze się wydarzy między nim a piękną blondynką, o której na okrągło myślał.

Ale to nie z powodu Rachel zamierzał odwołać ślub. No... może przyczyniła się do tego w pewnym stopniu, ale przecież już przedtem miał poważne wątpliwości. Teraz natomiast wiedział. Skoro nie potrafił sobie nawet przypomnieć, jakiego koloru są oczy Marii, lepiej dać sobie z nią spokój.

Brat nadal trwał przy stoliku, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

– Chyba jednak wszystko w porządku – mruknął Luke.

Tony tylko uniósł znacząco brew i dalej nie ruszał się z miejsca. No cóż... syndrom starszego brata. A akurat ten starszy brat rozwinął go w sobie już w bardzo młodym wieku. „Mów, stary, co chcesz, ja i tak swoje wiem...”.

– Dobrze, Tony. Wcale nie jest w porządku, ale mam zamiar coś z tym zrobić.

Tony, jak zwykle, nie zadawał głupich pytań. Bo to był prawdziwy starszy brat. Sam wiedział, co w trawie piszczy.

– Rodzina jest za tobą, Luke.

– Dzięki. Nasza na pewno. – Podniósł do ust filiżankę z kawą. Była jeszcze za gorąca, a tak w ogóle to nagle stracił ochotę na małą czarną. Stanowczo wołał frappuccino.

– Może ona przyjmie to spokojniej, niż myślisz – powiedział Tony.

– O co ci chodzi?

Tony najpierw zerknął przez ramię, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Gloria mówi, że ona zachowuje się jak... Jak narzeczona Frankensteina?

– ...jakby wcale nie była zadowolona z tego małżeństwa.

Gloria miała rację, przynajmniej do pewnego stopnia. Maria w niczym nie przypominała szczęśliwej narzeczonej, która z niecierpliwością czeka na ślub, a ostatnio sprawiała wrażenie osoby, która ma coś do ukrycia. Szwagierka na pewno to też zauważyła. Niestety, zanim Luke zdążył dokładniej wysondować Tony’ego, drzwi otwały się i do restauracji wkroczył nowy gość.

O wilku mowa...

– Pogadamy później. – Tony poklepał Luke’a po ramieniu i znikł. Poklepał, by dać do zrozumienia, że on i cała rodzina trzymają za Luke’a kciuki? A może było to pożegnanie? Tony bał się, że żywiłowa włoska narzeczona, gdy usłyszy, że ślub już nieaktualny, poderżnie Luke’owi gardło, na przykład nożem do chleba.

– Boże święty! Co za dzień – odezwała się Maria rozdrażnionym głosem. Innego nie używała od kilku tygodni. – Nienawidzę korków. Nienawidzę tego miasta. Nienawidzę każdego człowieka, który w nim mieszka.

– Witaj, Mario!

Kiedy opadła na krzesło po drugiej stronie stolika, spojrzał jej w twarz. Brązowe. No tak, naturalnie, że brązowe. Wiedział o tym doskonale, ale za Boga nie mógł sobie przypomnieć już od kilku dni, dokładniej od chwili, gdy po raz

pierwszy spojrzął w błękitne oczy Rachel Grant.

– Przepraszam, Luke. Mam zły dzień.

– Nie po raz pierwszy – mruknął. – To wszystko razem jest jakieś... szalone.

– Och, bardziej niż myślisz!

Twarz Marii była ponura, oczy bez blasku, ramiona opuszczone. Luke nie znał jej tak dobrze, jak powinien, ale każdy by się zorientował, że przygniatała ją jakiś ciężar.

Co dawało pewną szansę.

– Mario? Coś nie tak? Zesztywniała.

– Co ma być nie tak?

– Przecież widzę, że coś nie gra. Myślę, że powinniśmy sobie wszystko szczerze wyjaśnić, zanim nie będzie za późno.

Oczy Marii nagle rozbłysły. Niestety, kiedy już otwierała usta, do restauracji weszła pani Santori razem z Glorią. Obie roześmiane, gadające jedna przez drugą. Obie z daleka rzuciły Marii słowa powitania.

Wszystko przepadło. Jeśli Maria miała zamiar wyznać mu coś istotnego, teraz nie wydusi z siebie ani słowa, czyli sprawę rozwiązać można tylko w jeden sposób. Poczekać na następny dogodny moment i od razu przystąpić do rzeczy. Poinformować Marię, że Luke Santori wcale nie ma zamiaru z nią się żenić.

W piątkowy wieczór, podczas tych miłych wspólnych godzin w księgarni, Rachel udało się usunąć z pamięci fakt, że Luke jest zaręczony. Przypomniała sobie o tym dopiero w ostatniej chwili, kiedy tuż przed rozstaniem omal jej nie pocałował.

Czuła, że miał wielką ochotę to zrobić. Ona zresztą też bardzo chciała tego pocałunku, który na pewno byłby oszałamiający. Perfekcyjny. Absolutnie cudowny.

I absolutnie nie na miejscu.

Dlatego nakazała sobie natychmiastowy odwrót, bo gdyby Luke nalegał, gdyby nachylił się nad nią jeszcze raz – tak bliźniutko, jak za pierwszym razem, kiedy poczuła jego oddech przesycony zapachem kawy – och, wtedy nie zważałaby na nic.

Jednak on nie nachylił się po raz drugi, a ona jakimś cudem dała radę wskoczyć do samochodu i odjechać.

Sytuacja była bardzo niebezpieczna, stąd taka decyzja. Po prostu dość. Nadeszła pora spojrzeć na ślub Martinelli-Santori wyłącznie profesjonalnie. Dopasować pannie młodej suknię, przekazać gadzety doręczone przez kuriera i całą sprawę uważać za definitywnie zakończoną.

Paczka była pokaźnych rozmiarów, przysłana przez domeafavor.com., znajomą firmę internetową, w której Rachel kilkakrotnie już zamawiała różne

drobiazgi dla młodych par.

Spojrzała na adres: „Pan Luke Santori z małżonką”.

Tylko kilka wyrazów, a jakże... bezlitosnych.

Tyle jeśli chodzi o profesjonalne podejście. Rachel najchętniej zalałaby się łzami, po prostu zmieniła w kałużę słonych łez, bo człowiek, któremu na pewno nie była obojętna, miał jednak zamiar stanąć przed ołtarzem z zupełnie inną kobietą.

Dla Rachel Grant na zawsze pozostanie nieosiągalny.

Zawsze był dla ciebie nieosiągalny, idiotko, pomyślała z goryczą. Tylko ty o tym na chwilę zapomniałaś.

Nigdy więcej. Rachel już oprzytomniała. Wyrzuciła z głowy obrazy silnych palców, delikatnie głaszczących jedwab, skrzących się oczu, powalających uśmiechów. Było, minęło. Koniec z poddawaniem się czarowi i wdziękowi Luke'a Santoriego.

Nigdy więcej nie powinnaś być z nim sam na sam, klarowała sobie. I weź się w końcu do roboty!

Ostrożnie przecięła taśmę i otworzyła kartonowe pudła. W środku było kilka mniejszych, zapieczętowanych pudełek. Czyli bombonierek z migdałami w lukrze, bez których nie może się obejść żadne włoskie wesele.

Nigdy więcej sam na sam z Lukiem.

A więc dobrze. Nie będzie dzwonić do niego ani do tej jędry Marii, bo znając swoje szczęście, i tak wszystko obróci się przeciwko niej. Marii na pewno nie będzie się chciało tu przyjść i przyśle Luke'a. Luke oczywiście przyjdzie, do tego, na przykład, nie w garniturze, bo akurat będzie wracał z treningu. Czyli w wystrzępionych szortach i podkoszulku. Cudowne bary będą lśniły od potu...

Dość.

Istniało tylko jedno rozsądne rozwiązanie. Powinna sama zanieść przesyłkę do restauracji Santorich i poprosić, by przekazano ją przyszłej pannie młodej. Tak będzie najlepiej. Tego samego zdania była Maddie, która zjawiała się w butiku jak zawsze, kiedy w sobotę zapowiadał się duży ruch.

– Oczywiście, zanieś sama, przecież to kilka kroków stąd, a przy okazji przynieś mi małą pizzę, dobrze?

Małą... Rachel z trudem powstrzymała uśmiech. Maddie była taka drobna. Wydawało się, że będzie miała trudności ze skonsumowaniem jednego kawałka pizzy, a co dopiero całej, choćby małej.

– Jasne, przyniosę, o ile zgodzisz się zrobić przymiarke Marii Martinelli. O ile ona w końcu zdecyduje się tu przyjść. Maddie, błagam... – Rachel zniżyła głos. – Ja nie mogę tego zrobić ze względów osobistych...

Maddie otworzyła usta, by zaprotestować, ale błagalny wzrok Rachel i wzmianka o względach osobistych zrobiły swoje.



- Dobrze.
- Dzięki, Maddie.
- Nie ma za co. Ale przynieś mi jeszcze do tej pizzy pałeczki.

Pizza i chlebowe pałeczki. No cóż... W końcu to niezbyt wysoka cena za uniknięcie spotkania z przyszłą żoną mężczyzny, w którym zakochała się Rachel Grant.

Zakochała się po raz pierwszy w życiu – niestety w mężczyźnie, którego nigdy mieć nie będzie. Czyli upadła na głowę.

Tak, to było szaleństwo, co uzmysłowiła sobie z całą ostrością, gdy wchodziła do restauracji Santorich i natychmiast uświadomiła sobie również, że spotkania z Marią nie da się uniknąć, rzeczona kobieta bowiem siedziała kilka metrów dalej przy jednym stoliku z Lukiem.

Miała zamiar wycofać się natychmiast i po angielsku, niestety było już za późno, jako że zza kontuaru wynurzała się pani Santori, oczywiście z uśmiechem na ustach i radosnym okrzykiem na jej widok:

– O, Rachel! Witaj! Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że przyjdiesz na lunch? Kazałabym Anthony’emu przygotować dla ciebie szpinak calzone!

Szpinak calzone, oczywiście jej ulubiony. Rachel z trudem zmusiła się do drżącego skinienia głową. Luke, słysząc okrzyki matki, natychmiast poderwał głowę. Wyglądał na spiętego, ale kiedy napotkał wzrok Rachel, natychmiast złagodniał.

Uśmiechnął się uroczo i tak ciepłutko, że omal nie potknęła się o własne nogi. Dopiero po dobrej chwili udało jej się wydusić:

– Dziękuję... dziękuję bardzo, pani Santori, ale wpadłam na chwilę. Chciałam tylko to przekazać... – Postawiła karton na wolnym stoliku i zerknęła przez ramię na parę narzeczonych, którzy wcale nie wyglądali na szczęśliwych. – Te gadzety dostarczono dziś rano. Pomyślałam, że Maria na pewno będzie chciała je obejrzeć. Może... może pani łaskawie pokaże im to później.

Pani Santori milczała jakiś czas, a jej baczny wzrok nie odrywał się od twarzy Rachel, która życzyła sobie z całego serca, żeby jej oddech w końcu się uspokoił, a policzki straciły buraczany kolor. Bo taki na pewno był.

Chociaż te wyrzuty sumienia są całkowicie bezpodstawne. Przecież ona nawet nie dotknęła narzeczonego Marii. No, może raz rzuciła mu się w ramiona, ale to była sytuacja wyjątkowa, spowodowana przez debila Franka o serdelkowatych paluchach. Poza tym wtedy nie miała jeszcze pojęcia, jak bardzo spodoba jej się przebywanie w objęciach Luke’a. Co innego, gdy już w nich wylądowała...

Ale przecież nie mogła tego przewidzieć, naprawdę nie było powodu, by czuła się winna. Co prawda tylko jeśli chodzi o czyny, bo gdyby tak przeświecić jej najskrytsze pragnienia... O! Wtedy, ludzie, od razu wołajcie kata!

– Posiedź z nami chwilę, Rachel – powiedziała miło pani Santori. –

Wiesz, jak wszyscy lubimy, kiedy tutaj wpadniesz.

Powiedziała to półgłosem, a na jej twarzy malowało się coś, co można było odczytać jako współczucie. O matko święta! Czyżby wiedziała, co dzieje się w duszy nieszczęsnej panny Grant?

– Rachel! Jak miło cię widzieć! – Uprzejme powitanie, wypowiedziane donośnym głosem, wcale nie zabrzmiało naturalnie. Oczy Marii błyszczały podejrzeniem.

– Przyniosłam gadżety na wasz ślub – powiedziała cicho Rachel. – Proszę, możecie sobie obejrzeć.

Maria nie ruszyła się z miejsca.

– Och, to na pewno te migdały w lukrze. Ojciec uparł się, żeby je zamówić. No dobrze, dziękuję. Później je obejrzę.

– Nie, nie Mario! – zaprotestowała Gloria, wybiegając z kuchni. – Nie wykręcisz się. Musisz zaraz otworzyć pudełko, które leży na samym wierzchu, dzięki czemu przestaniemy usychać z ciekawości. Dowiemy się, ile ty i Luke będziecie mieli dzieci!

Dzieci Luke'a i Marii... Rachel ze świstem wciągnęła powietrze i zacisnęła pięści, pełna obrzydzenia dla siebie z powodu kolejnej, jakże niepożądanego reakcji.

Maria też zareagowała, i to w taki sposób, że zdumiała wszystkich.

– Dzieci? Jakie dzieci?! – obruszyła się. – Przecież wcale nie jestem w ciąży! Kto wam powiedział, że spodziewam się dziecka?

Luke powoli podniósł się z krzesła i podszedł do stolika, na którym stał karton.

– Chyba raczej nikt tego nie podejrzewa... – Spojrzał przelotnie na Marię. Rachel zauważyła, że bardzo chłodno. Takie samo było spojrzenie Marii. Dziwne. Można by pomyśleć, że para narzeczonych czuje się sobą skrępowana.

– Nie znasz tego obyczaju? – spytała Gloria, nie kryjąc zdumienia. Wyjęła z kartonu niewielką bombonierkę i zaczęła zdzierać taśmę. – Narzeczeni zawsze liczą migdały. Ile migdałów, tyle będą mieli pociech! My z Tonym naliczyliśmy tylko dwa, znakiem tego mamy już spokój!

Rachel stanowczo wolałaby znaleźć się gdzie indziej, niestety dyplomatyczny odwrót nie wchodził w grę. Po prostu nie wypadało. Musiała stać i patrzeć, czując się dokładnie tak samo, jak przed pierwszą w życiu kontrolą podatkową.

Maria i Luke wcale nie wydawali się zadowoleni z powodu tego całego zamieszania. Twarze mieli ponure, co pozwalało przypuszczać, że żadne z nich nie miało wizji wspólnego domu rozbrzmiewającego dziecięcym śmiechem. Na twarzy pani Santori również nie było uśmiechu, jakby przeczuwała coś niedobrego.

Tylko Gloria, roześmiana i bardzo przejęta, zdawała się nie zauważać

tych wszystkich podtekstów. Szybko zdarła taśmę i podsunęła pudełko ku Marii.

– Otwórz!

Maria powoli otworzyła pudełko, zajrzała do środka i nagle zbladła. Przez chwilę wpatrywała się w coś osłupiałym wzrokiem, potem otworzyła usta, z których wydobył się krzyk dostatecznie przeraźliwy, żeby zelektryzować wszystkich. Kilka widelców z głośnym brzękiem opadło na talerze. Jakaś kobieta wywróciła szklankę i zalała cały stół.

Nie było nikogo, kto nie wpatrywałby się w Marię, która, kompletnie roztrzęsiona, zakryła dłońmi twarz.

– Co się stało? – spytał z niepokojem Luke. – Mario!

Odsoniła bladą jak papier i przerażoną twarz.

– To znak! Zły omen! Och Boże! Te oczy! One tak na mnie patrzą! – Spłoszony wzrok przemknął dookoła i powrócił do Luke'a. – Ja... ja powiem – wykrztusiła. – Powiem wszystko! Przyznaję się, mam romans. Zakochałam się w doktorze Schwartzu, moim dentyście.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rachel nie czekała na wybuch fajerwerków w restauracji Santorich, czyli na bezpośrednią konsekwencję czynu Marii, który równał się podrzuceniu bomby. Mamrocząc pod nosem coś w rodzaju przeprosin, wycofała się do drzwi. Gloria zrobiła podobnie, z tą różnicą, że wycofała się do kuchni. Zasepiona pani Santori też gdzieś znikła.

Od szokującego zajścia w restauracji Santorich minęła już cała doba. W przypadku Rachel była to doba wypełniona nieustanną gonitwą myśli. Co działo się po jej wyjściu? Czy Luke dostał szału, czy poczuł ulgę? Czy Maria prosiła go o wybaczenie i zwrócenie jej słowa? Co ze ślubem? Będzie czy nie?

Czy Luke Santori jest wolnym człowiekiem?

Panie Boże, dopomóż, ale to ostatnie pytanie było pytaniem podstawowym. Tłukło się w jej głowie przez całą noc i niedzielny poranek, doprowadzając do szału, dlatego Rachel postanowiła zmienić lokal, to znaczy opuścić swoje mieszkanie, udać się do butiku i zająć się pracą, mimo że w niedzielę „Przedślubny Zamęt” zawsze był zamknięty.

Pomysł można by nawet określić jako wspaniały, gdyby nie jeden szkopuł, mianowicie taki, że restauracja Santorich znajdowała się zaledwie kilka bram dalej. Na szczęście w niedziele otwierano ją tylko w porze obiadowej. Teraz zamknięta była jeszcze na cztery spusty, ale i tak na sam widok tamtego miejsca w Rachel natychmiast ożyły wspomnienia z dnia poprzedniego.

W rezultacie kiedy kręciła się po butiku, jej myśli znów były monotematyczne. Przed oczyma miała obraz Marii, która lamentuje nad koralikami w kształcie oczu. Jej przerażenie, a potem dramatyczne wyznanie...

Ta dziewczyna chyba rzeczywiście miała nie po kolei, i to pod wieloma względami, a przede wszystkim pod takim, że tylko kompletna idiotka o ptasim mózdzku wybrałaby dentystę, mając do dyspozycji mężczyznę tak nieskończenie wspaniałego jak Luke Santori.

W butiku zawsze znalazło się coś do roboty, lecz Rachel nie była w stanie skupić się na paragonach, utargu czy księgach, dlatego postanowiła zająć się czymś, co wymagało mniejszego zaangażowania umysłu, czyli zrobić porządek na nowym biurku, już zawalonym pudełkami po butach, skrawkami materiału i koronek.

Niestety, ta prosta czynność również sprawiała jej niejaką trudność, ponieważ spojrzenie nieustannie kierowało się w jedną tylko stronę, a mianowicie ku przykrytemu wykładziną podwyższeniu, na którym zwykle stawały klientki podczas przymiarki. Teraz leżał tam stos materiałów.

Wzrok Rachel natychmiast wyłowił jasny materiał w kolorze moreli. Materiał, który głaskał Luke tamtego pamiętnego wieczoru.

Pokusa była zbyt wielka. Wolnym krokiem podeszła do podwyższenia. Wszędzie dookoła były olbrzymie lustra, w każdym z nich odbijała się Rachel... półprzytomna, jakby była w jakimś transie...

To nic, że jest to po prostu żałosne, ale tylko w ten sposób mogła stworzyć sobie namiastkę bliskości Luke'a.

Zanim mózg, pracujący teraz na bardzo wolnych obrotach, zdążył przekazać informację, że jest totalną idiotką, wzięła do ręki materiał. Och, i tak by go wzięła, nawet gdyby mózg przekazał jej tysiące ostrzeżeń!

Delikatnie potarła materiałem o policzek.

– Jaki mięciutki... – Przymknęła oczy, westchnęła głęboko i wciąż ulegając podstępemu instynktowi, powolutku przeciągnęła kawałkiem materiału po szyi, a potem po piersiach, przykrytych tylko cienkim materiałem letniej sukni.

– Czy... czy kiedyś... czy kiedyś będziesz mnie tak dotykał...

– Na pewno. Zamarła.

Ten głos dobiegający gdzieś z tyłu, cichy i lekko zachrypnięty... Luke!

– Ty... tutaj?

– Tak. To ja, Rachel.

– Ty... A ja zastanawiałam się, czy kiedykolwiek tu przyjdiesz.

Słyszała, jak zrobił krok.

– Przyszedłem, Rachel. Chciałem to zrobić od dawna, ale przyrzekłem sobie... i tobie... że ten próg przekroczyć dopiero wtedy, kiedy znów będę wolny.

Czuła, jak gorąca fala szczęścia zalewa całe jej ciało. Luke i Maria zwrócili sobie słowo. Luke jest wolny. Przyszedł tutaj...

Temperatura ciała jakby znów obniżyła się o kilka stopni.

– Luke? – Powoli odwróciła się do niego. – Ale dlaczego tu przyszedłeś? Czy dlatego, że też jestem wolna i pod ręką?

Jego twarz spochmurniała, więcej, pojawił się na niej gniew. Potem Luke zrobił dwa bardzo długie kroki, pokonując za jednym zamachem resztę dzielącej ich odległości.

Złapał Rachel mocno za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Nie wolno ci tego mówić, słyszysz? Nie wolno ci nawet tak pomyśleć!

Dlaczego? Z bijącym sercem czekała na dalsze wyjaśnienia.

– Przyszedłem, bo pragnę cię, Rachel Grant. Dłoń Luke'a przesunęła się po jej ramieniu.

Głaskał ją najpierw delikatnie, potem palce przywarły mocniej, jakby badał nimi miękkość jej skóry...

Dotykał jej.

Jasno wyraził swoje intencje, miał więc prawo usłyszeć z jej ust prawdę. Usłyszeć, choć wypowiedź będzie bardzo śmiała i bardzo konkretna.

– Ja też cię pragnę, Luke.

Jego dłoń zdecydowanie przyśpieszyła. Przesunęła się jeszcze raz po ramieniu, potem palce wsunęły się we włosy i przeczesały je kilkakrotnie, rozdzielając gęszcz w jasnozłociste pasma. Druga ręka przemknęła po ramieniu Rachel i chwyciła za dłoń.

To wszystko razem było po prostu upajające, ale wcale nie zadziwiające. Rachel przeczuwała, że tak właśnie się stanie, kiedy Luke wreszcie będzie jej dotykał. Cudownie.

– Czy wiesz, jak bardzo chciałem to zrobić? – szepnął. – Myślałem o tym przez cały tydzień.

– Ja też, Luke. Ja też...

– Ale nie mogłem tego zrobić. – Jego palce musnęły jej kark. – Nie chciałem, żebyś myślała, że jestem jednym z tych napalonych facetów, co to chcą jeszcze raz przed ślubem zaszaleć. W moim przypadku od samego początku chodziło o coś innego.

– Wiem, Luke.

Podejrzewała, że na pieszczoty Luke'a reagować będzie bardzo mocno. Wystarczyło przypomnieć sobie, co działo się z nią, kiedy głaskał ten jedwab. Jednak rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej ekscytująca. Pod palcami Luke'a jej ciało zmieniało się w kłębek rozdygotanych nerwów, drżących z tęsknoty za kolejnym dotknięciem.

Cudowne, delikatne pieszczoty, tak bardzo pobudzające, ale nawet one nie przygotowały jej na pocałunek, który wreszcie nastąpił. Przede wszystkim Luke pocałował ją dopiero wtedy, kiedy była pobudzona do takiego stopnia, jakby miała za chwilę eksplodować. Dopiero wtedy pochylił głowę. Najpierw spotkały się ich oddechy, potem połączyły się usta. Sam pocałunek był precudowny. Długi i gorący.

Rachel wparła się w Luke'a i mocno objęła go za szyję.

– Chcę cię, Luke – jęknęła mu prosto do ust. Bo to coś, co w niej narastało, osiągało już poziom nie do wytrzymania.

Nie odezwał się ani słowem, tylko odsunął się trochę, położył ręce na jej ramionach i delikatnie odwrócił ją plecami do siebie.

Twarzą do luster, w których widać było ją całą. W każdym lustrze stała Rachel. Półprzytomna, roznamiętniona.

Za jej plecami Luke. Zaczął rozpinać zamek błyskawiczny na jej plecach. Powolutku, centymetr po centymetrze. Każdy kolejny centymetr zwiększał męczarnie Rachel. Przecież wiadomo, że chciała, żeby ten przeklęty zamek rozpiął się błyskawicznie, a uśmiech, błąkający się po twarzy Luke'a, dowodził niezbicie, że zdawał sobie sprawę, co teraz robił. Doprowadzał ją do szaleństwa.

W porządku, ale w tej grze jest przecież dwóch graczy, prawda?

Spojrzała w lustrzane odbicie Luke'a, a konkretnie w oczy, i wpatrując się tam intensywnie, nieznacznie wzruszyła ramieniem. Jednym, potem drugim.

Gdy suknia zsunęła się na podłogę, Rachel uśmiechnęła się. Tak samo zmysłowo jak on. I zachęcająco.

– Jesteś... wspaniała...

Pożądanie w jego oczach było czymś, czym mogłaby się karmić przez całe miesiące. Wyłącznie tym i cudowną świadomością, że Luke pożąda właśnie jej, Rachel...

Na kremowej skórze brzucha pojawiła się ciemna dłoń. Nogi Rachel zaczęły drżeć od tego głaskania, od tego zwielokrotnionego lustrzanego odbicia. Nagi brzuch, ciemna dłoń.

Na szyi poczuła wilgotne, gorące wargi. Ciemne palce wsunęły się za stanik, objęły cudownie miękką pierś.

– Uwielbiam cię dotykać, Rachel... Cichy szept leciutko zadrapał ją w kark.

– A ja uwielbiam, jak mnie dotykasz.

Sięgnęła ręką za plecy i rozpięła stanik. Brązowe oczy Luke'a, pociemniałe teraz, prawie czarne, śledziły każdy jej ruch. Ramiączka stanika opadły, ale Rachel przytrzymała stanik. O nie, teraz ona podrażni się z Lukiem, tak jak on z nią, rozpinając zamek. Będzie zsuwać ten stanik powolutku...

Po raz pierwszy w życiu była zadowolona ze swoich okrągłości, bo tak cudownie się złożyło, że trafiła w gust Luke'a. Przecież po prostu był jednym wielkim pożądaniem. Kiedy odsłoniła przed nim cały biust, najpierw jęknął, a potem w jednej chwili pozbył się wszystkiego: T-shirta, butów, dzinsów i bokserek. Ponadto błyskawicznie wyciągnął z kieszeni dzinsów pakiecik z nieodzownym sprzętem.

Rachel, która śledziła w lustrach każdy jego ruch, miała wrażenie, jakby w jej płucach nie było już grama powietrza. A kiedy ukazał się w nich kompletnie nagi i podniecony Luke, po prostu kwintesencja męskości, zrezygnowała z pośrednictwa luster.

Odwróciła się i jej łakomy wzrok przemknął po wszystkim. Wszystkim idealnym. Szerokiej klatce, muskularnych rękach, płaskim brzuchu, wąskich biodrach.

– Och...

– Nie planowałem pierwszego razu na podłodze – mruknął Luke, rozglądając się dookoła. – Może...

Jednocześnie spojrzeli na podwyższenie zarzucone materiałami. Na twarzy Luke'a pojawił się znaczący uśmiech. Rachel zadrżała.

Podszedł do małego podium, zebrał stos materiałów, podniósł i rozłożył ręce. Miękkie, różnobarwne jedwabie i atłasy z powrotem opadły na swoje miejsce. Morelowy jedwab na samym końcu. Oczywiście. Właśnie ten.

– Kiedy pierwszy raz dotykałem tego materiału, wyobrażałem sobie, że to twoja skóra – szepnął, pomagając jej ułożyć się na górze jedwabiu.

– Wiem.

A potem nie było już słów, tylko po prostu miękkość i gładkość, w które otulał ją Luke: w chłodny jedwab, w gładki atlas, w delikatne koronki i w ciepłą bawełnę. Oczywiście najważniejszy był morelowy jedwab. Luke różkiem tego jedwabiu przesuwiał po różnych, bardzo wrażliwych częściach ciała Rachel. Za różkiem podążały usta...

Rachel czuła, że z tej rozkoszy chyba zaraz straci rozum.

Chłód i żar. Gładkość i szorstkość. Śliskość i wilgoć. I wreszcie... on.

Nareszcie razem, tak naprawdę, co było... nieprawdopodobnie zachwycające.

– Kocham cię, Rachel Grant – powiedział ochrypłym głosem.

Ona zaś, przybierając cudownie wyuzdaną pozę, pomyślała, że nic jeszcze w jej życiu nie było tak perfekcyjne jak Luke i ona, prawdziwe dwie połówki, teraz złożone w jedną całość.

– Ja też cię kocham, Luke.

Luke uzmysłowił sobie, że nigdy jeszcze w życiu nie kochał się z kobietą. Oczywiście, że spał z niejedną, ale to był tylko seks. Bo on nigdy jeszcze nie postawił tych wszystkich kropek nad „i”. Nie połączył z sobą uczucia rozkoszy z czułością, a przecież tylko wtedy człowiek kocha się naprawdę.

Jak teraz, z Rachel.

Kiedy minęły spazmy orgazmu, zsunął się z niej i ułożywszy się na plecach, przytulił ją do swojej piersi. Przez kilka chwil leżeli w milczeniu, czekając, aż ich serca zaczną znów bić normalnym rytmem, oddech też wróci do normy.

Nasyчени. Jak na razie.

Luke ponadto, bawiąc się złocistymi włosami Rachel, zastanawiał się w duchu, jak powiedzieć to, co miał zamiar jej przekazać. Czy zrobić to jeszcze dziś, czy poczekać, bo tempo rzeczywiście było szalone. Z drugiej strony jednak po co czekać, przecież nie miał żadnych wątpliwości. Kocha Rachel Grant i razem z nią chce spędzić resztę życia. Tylko z nią, dlatego nie ma sensu z niczym zwlekać, a nawet bawić w jakiś przydługi wstęp.

– Wyjdź za mnie, Rachel. Roześmiała się.

– Oczywiście!

– Mówię serio. Wyjdź za mnie. Chcę, żebyś została moją żoną.

Serio... Powoli odsunęła się od niego i spojrzała mu prosto w oczy. Sprawdzała jego wiarygodność, to jasne. Miał nadzieję, że oczy faktycznie są zwierciadłem duszy i jego uczucia są tam ewidentnie widoczne. Chyba tak było, bo dziś rano matka oświadczyła, że jej zdaniem Luke kocha się w pięknej właścicielce butik.

– Powtarzam, Rachel. Mówię to serio. Kocham cię i pragnę cię poślubić.



Za tydzień, za rok, nieważne kiedy, ale chcę, żebyś została moją żoną. Kocham cię, rozumiesz? Przedtem zaręczyłem się z inną i zachowałem się jak kretyn, bo kompletnie bez miłości. Tylko po to, żeby podtrzymać rodzinną tradycję. Ale zapomnijmy o tym. To przeszłość. Bo na szczęście... – Pocałował ją w kącik ust i szepnął: – Zakochałem się w tobie. Chcę ożenić się z tobą z miłości, czyli jedyne go sensownego powodu. Niestety, ona milczała.

– Rachel! Powiedz coś! Na przykład, że za wcześnie myśleć o ślubie, bo jeszcze przez jakiś czas chcesz się skoncentrować wyłącznie na pracy. Albo... Trudno... Powiedz, że tak naprawdę wcale mnie nie kochasz. Będę musiał się z tym pogodzić. Ale nie katuj mnie tym milczeniem!

Błękitne oczy Rachel, wpatrzone w niego, nagle zwilgotniały.

– Naprawdę mówisz to serio, Luke?

– Przysięgam.

Niestety, nadal nie mówiła „tak”. Chociaż nie powiedziała „nie”.

– A co sobie ludzie pomyślą?

– A co nas to obchodzi! Moja rodzina już cię kocha. Skakali z radości, kiedy dowiedzieli się, że ze ślubu z Marią nici. A rodzina Marii... No tak, przecież jeszcze wszystkiego nie wiesz! Wczoraj wieczorem Maria razem z tym swoim dentystą uciekła do Las Vegas, dlatego nie sędzę, żeby ktoś z jej rodziny miał do mnie o cokolwiek pretensję.

– Uciekła?! A więc to wszystko prawda? Kiedy była z tobą zaręczona, miała romans? Oszukiwała cię? Czy ona oszalała?

Była szczerze oburzona faktem, że ktoś śmiał go oszukiwać, on zaś, dla odmiany, był zachwycony jej gwałtowną reakcją. Nie mogła przecież w sposób bardziej ewidentny okazać swoich uczuć.

– Myślę, że przede wszystkim popełniła takie samo szaleństwo jak ja. Niepotrzebnie się zaręczyła. Zrobiła to ze względu na rodzinę, tradycję i tak dalej. Jej ojciec jest wyjątkowym konserwatystą, to on przede wszystkim parł do tego ślubu, rozumiesz, małżeństwo Włocha z Włoszką, z poszanowaniem włoskich obyczajów. Sam wybrał suknię ślubną. Maria mówiła mi, że jej nienawidzi. Najchętniej włożyłaby zwyczajną, żółtą sukienkę bez ramiączek.

A nie tę przepiękną suknię, wiszącą nieopodal na wieszaku.

– Luke! Ona ma chyba zupełnie nie po kolei.

– Nie. Nie do tego stopnia, jak wszyscy myśleli. Firma internetowa, która rozsyła weselne gadzety, pomyliła się. Pamiętasz, jak Maria krzyczała, że te oczy tak na nią patrzą? W tym pudełku rzeczywiście zamiast migdałów były oczy. Małe oczka z metalu. Jeden z naszych stałych gości, Grek, powiedział nam, że to tradycyjny gadżet ślubny Greków. Te oczy podobno odpędzają zło.

– Może... złe narzeczone?

– Między innymi! – Zaśmiał się, zadowolony, że atmosfera robiła się lżejsza, a Rachel, być może, przyswoiła już sobie fakt, że pewien Włoch właśnie

poprosił ją o rękę. – Na fakturze było jakieś greckie nazwisko, którego absolutnie nie potrafię powtórzyć. Zabawne, co? Przecież ci Grecy też dostali coś, czego nie zamawiali!

– Tak, zabawne, ale myślę, że firmie domeafavor.com należą się specjalne podziękowania.

– W sumie tak. W każdym razie Maria, kiedy zobaczyła te oczy, poczuła wyrzuty sumienia. Okazało się, że z tym facetem jest już od kilku miesięcy, ale trzymała to w tajemnicy. Bała się ojca, prawdopodobnie dlatego, że ten dentysta nie tylko nie jest Włochem. To Żyd, i do tego rozwiedziony.

Oczywiście, że był zły na Marię, bo niepotrzebnie utrzymywała ten związek w tajemnicy, ale nie potępiał jej, że pokochała innego. Jej wybór, a poza tym on przecież zrobił to samo...

– Wyobraź sobie, że dlatego właśnie zmieniała się w jędzę. Starła się być jak najgorsza, żebym zwrócił jej słowo.

– W takim razie jest niezłą aktorką – stwierdziła Rachel. – My, w butiku, nazywałyśmy ją nazistowską narzeczoną.

– A moi bracia narzeczoną Chuckiego! Mark po prostu jej nie znosił.

– Narzeczoną Chuckiego? – Rachel przechyliła na bok głowę i spytała niewinnym głosem: – Czy to znaczy, że ta koszmarna laleczka to ty?

– Nie, bo według najnowszej konfiguracji jest nią doktor Schwartz. Miałem szczęście.

– Nie tylko ty, Luke. Ja... też.

Przez chwilę milczeli, rozkoszując się tym całym dobrem, które zdążyło się już wydarzyć. I wydarzy...

– Odpowiedź brzmi: tak. Wyjdę za ciebie, Luke.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Proszę pana, proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze. Czy naprawdę państwu nie przeszkadza, że nie jestem ani katoliczką, ani Włoszką? Przecież wiem, że dla was nie jest to bez znaczenia!

Rachel, ze zdenerwowania przygryzając wargę, spojrzała z niepokojem na Anthony'ego Santoriego, który za moment miał poprowadzić ją środkiem kościoła.

Starszy pan uśmiechnął się i pogłaskał ją po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, dziecko. Ksiądz i tak was pobłogosławi. Zrobi to mój siostrzeniec, ojciec Frank, który zjawi się trochę później. Nie musisz brać ślubu w katolickim kościele, żeby otrzymać błogosławieństwo, a to, że nie jesteś Włoszką... – W brązowych oczach, tak samo brązowych jak Luke'a, zapaliły się wesołe iskierki. – No cóż... nikt z nas nie jest doskonały!

Podał jej ramię i dostojnym krokiem ruszyli środkiem kościoła, wypełnionego nową rodziną Rachel. Z jej twarzy ani na moment nie zniknął promienny uśmiech. Jej serce śpiewało ze szczęścia. Śpiewałoby na pewno jeszcze odrobinę głośniej, gdyby to jej ukochany tata mógł prowadzić ją do ołtarza.

Ale ojciec Luke'a wspaniale go zastępował. Miły, serdeczny i bardzo mądry starszy pan. Kiedy podeszli do ołtarza, szepnął jej:

– Witaj, kochane dziecko, w naszej rodzinie! I nie zapominaj, że twoi rodzice patrzą na ciebie z góry i są z ciebie bardzo dumni.

Kiedy zbliżała się do narzeczonego, łzy zakręciły się w jej oczach. W oczach Luke'a natychmiast pojawiło się pytanie. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, przekazując, że te łzy to łzy szczęścia.

Ślub miał miejsce w pięknej kaplicy na terenie miejscowego uniwersytetu. Kaplica ta nie należała do żadnego wyznania, brali przecież ślub już w dwa tygodnie po oświadczeniach Luke'a, nie było więc czasu na nauki przedmażeńskie w kościele katolickim. Jednak Luke tym się nie przejmował, jego rodzina też nie robiła problemu, co było dla Rachel miłą niespodzianką. Rodzina Luke'a w ogóle była cudowna. W ciągu minionych dwóch tygodni nikt, absolutnie nikt żadnym słowem czy choćby spojrzeniem nie dał odczuć Rachel, że jej pozycja jako narzeczonej Luke'a jest w jakiś sposób kwestionowana. A jeśli nawet ktoś tam zastanawiał się, co tak naprawdę zaszło między Rachel i Lukiem, kiedy on był jeszcze zaręczony z inną kobietą, to zastanawiał się w skrytości ducha i nie zadawał żadnych kłopotliwych pytań.

– Kocham cię, Rachel Grant – szepnął Luke, biorąc ją pod ramię. – Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej kobiety.

Tak właśnie się czuła, jak najpiękniejsza kobieta pod słońcem, a to dzięki

miłości w oczach pana młodego, dzięki szczęśliwym twarzom jego bliskich i przyjaciół, którzy wypełnili szczelnie niewielką kaplicę. Ze strony Rachel zjawiało się tylko kilka zaprzyjaźnionych osób z Karoliny Północnej. Oczywiście była także Ginny, chudziutka Maddie i kilkoro nowych znajomych z Chicago, ale przede wszystkim kaplicę wypełniała cała chmara Santorich.

Rachel zgodziła się na tak szybki ślub głównie ze względu na obecność licznych krewnych Luke'a, którzy przybyli zza oceanu. Oni przecież już wcześniej przyjechali do Stanów, na... tamten ślub. Ale w sprawie terminu uroczystości była nieugięta, nikt zresztą z nią specjalnie nie dyskutował. Zgodzono się, żeby odbyła się w niedzielę, a nie w sobotę. Matka Luke'a była nawet bardzo z tego zadowolona. Powiedziała, że włoskie śluby tradycyjnie odbywają się właśnie w niedzielę, a małżeństwa zawarte w sobotę podobno wcale nie są szczęśliwe.

Uległa namowom również w innej sprawie. Chodziło o suknię. Elegancką, przepiękną suknię, co prawda kiedyś przeznaczoną dla kogoś innego. Ale tamta kobieta tej sukni nigdy nie dotknęła, nawet jej nie widziała.

Ta suknia szeleściła teraz wokół jej nóg. Jedwabna biel, u góry obsypana perełkami, z tyłu tren z delikatnych jak mgła koronek.

– Ta suknia przeznaczona była dla ciebie, Rachel – szepnął Luke, kiedy stanęli przed obliczem kapłana.

– Chyba tak... – odparła również prawie bezgłośnie, nadal zdumiona, że nie trzeba było dokonywać prawie żadnych poprawek, ot, nieco poszerzyć w biuście, z czym Maddie nie miała żadnego kłopotu.

Naturalnie na początku była tej sukni absolutnie przeciwna i chociaż Ginny razem z Maddie namawiały ją gorąco, wcale nie zamierzała ustąpić, póki w butik nie zjawił się Rudy, ojciec Marii, obecnie Marii Schwartz.

Ten człowiek potrafił oczarować wszystkich. Zapłacił i za suknię ślubną, i za wszystkie suknie dla druzhen, które także zamówiła jego córka. Potem serdecznie pogratulował Rachel z okazji zaręczyn z Lukiem. Powiedział też, że ma prośbę. Dla niego byłby to wielki zaszczyt, gdyby Rachel zechciała wystąpić w tej właśnie sukni. Jego marzeniem było zobaczyć w niej córkę, ale cóż... sprawy potoczyły się inaczej. Dlatego ogromnie sobie ceni fakt, że mimo to został zaproszony na ten ślub.

Rachel od tych deklaracji po prostu zakręciło się w głowie. Starszy pan zrobił na niej wielkie wrażenie. Człowiek z minionej epoki, nade wszystko ceniący tradycję, honor i rodzinę. Podobało jej się to, choć nie była pewna, czy wszystko, co powiedział pan Martinelli, spodobałoby się Lottie. Rudy Martinelli przekazał jej bowiem, że rozmawiał z Tonym Santorim na temat ewentualnego małżeństwa swego syna z jedyną córką państwa Santorich. Rachel miała nadzieję, że pod tym względem Lottie wykaże się stanowczością i biorąc przykład ze swoich starszych braci, wyjdzie za mąż z tego jednego słusznego

powodu, czyli z wielkiej, prawdziwej miłości.

Może i ta suknia rzeczywiście była jej przeznaczona. Może wszystko, co zdarzyło się wcześniej, w ciągu tego roku, nie wydarzyło się na próżno. Przeprowadzka do Chicago, wspólny biznes z ciotką Ginny kilka bram od restauracji Santorich... Los specjalnie tak pokierował, żeby doprowadzić Rachel do celu. Do miłości jej życia.

A rodzice... Och, pan Santori miał rację. Oni na pewno teraz na nią patrzą. I może to nie los, a właśnie oni pokierowali swoją córką?

Oczy Rachel znów napełniły się łzami, usta poruszyły się bezgłośnie w modlitwie, żarliwej choć krótkiej, bo kapłan dał znak, że zaczyna się ceremonia zaślubin.

W trakcie uroczystości Rachel, o dziwo, wcale się nie denerwowała. Bez wątpienia przyczyniła się do tego solidna postać Luke'a u jej boku i jego zdecydowany głos, kiedy powtarzał małżeńską przysięgę. Dlatego też i ona przysięgła mu miłość i wierność w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. A kiedy ogłoszono ich mężem i żoną, ona pierwsza odwróciła się do męża i podała mu usta.

– Nareszcie... Już po wszystkim... – szepnął Luke, gdy od tych ust się oderwał. – Nie mogę się doczekać, kiedy...

– Kochanie, wspólnie podjęliśmy decyzję o przedślubnej wstrzeźliwości.

– Tak. I nie było potem dnia, żebym tego nie żałował.

Jego oczy, kiedy mówił, robiły się po prostu aksamitne. Czekał na tę noc tak samo niecierpliwie jak ona. A ta poślubna noc będzie zachwycająca. Rachel była tego pewna, zwłaszcza od chwili, gdy ujrzała, co na tę okazję wykreowała ciotka Ginny, a mianowicie prześliczną wytworną koszulę nocną z jedwabiu w morelowym kolorze. Ginny była w szyciu prawdziwą artystką. Osiągała ten sam stopień mistrzostwa co Leonardo da Vinci za pomocą farb i pędzli. Koszula miała głęboki dekolt ozdobiony błyszczącymi koralikami. Od takiej nocnej kreacji drogi małżonek na pewno straci głowę.

– Ty też chyba czekasz na tę noc, kochanie, prawda? – mruknął Luke, kiedy wśród radosnych okrzyków przechodzili środkiem kaplicy.

– Oczywiście. A jak zobaczysz moją nową koszulę nocną, zemdlejesz z wrażenia.

Luke przystanął.

– Czy... ona jest z morelowego jedwabiu?

– Oczywiście!

Wtedy jej świeżo poślubiony mąż, nie zważając na powagę miejsca ani na licznie zgromadzoną publiczność, porwał ją w ramiona i złożył na jej ustach wyjątkowo namiętny pocałunek, co oczywiście spotkało się z wielkim aplauzem ze strony publiczności. Brawom i okrzykom nie było końca, goniły za młodą

parą, która schodziła po schodach i szła do pięknego wynajętego powozu czekającego przed kaplicą.

Rozsiedli się na wyściełanej aksamitem ławeczce. Koń ruszył. Rachel, wtulona w Luke'a, śmiała się radośnie, bo wszystko dookoła było właśnie takie. Słoneczny dzień, moc kwiatów, którymi ozdobiono podjazd. A potem, kiedy wjechali w Taylor Avenue, nie było przechodnia, który by się do nich nie uśmiechnął i nie pomachał ręką. Chicago kocha śluby. Nawet kierowcy na zatłoczonej jezdni popatrywali z pobłażaniem na konny powóz, który tak okropnie spowalniał ruch.

– Jestem bardzo zadowolona, że przyjęcie odbędzie się w waszej restauracji – mruknęła, wtulając się w męża jeszcze trochę mocniej.

– Moi rodzice też są z tego bardzo zadowoleni – przyznał mąż, obejmując ją jeszcze mocniej ramieniem. – Ojciec uważa, że francuskie jedzenie dobre jest dla psów.

– Och! Luke, jak ja kocham twojego tatę. Kocham was wszystkich.

– Oni ciebie też kochają. Prawie tak mocno jak ja. Oczywiście prawie.

Przed restauracją czekał na nich rozentuzjarmowany tłum weselnych gości. Kiedy wysiedli z powozu, nagle, ku zdumieniu Rachel, spadł na nich deszcz – a raczej grad – różnokolorowych cukierków.

– Migdały w lukrze – wyjaśnił Luke. – Symbolizują dwie strony małżeństwa, gorzką i słodką. Ale tak ogólnie przynoszą szczęście.

Nie miała nic przeciwko tym cukierkom, o ile nie poplamia jej pięknej sukni i o ile któryś nie trafi jej w oko.

W restauracji czekały na nich kwiaty, masa ludzi i obfitość jedzenia. W ciągu kilku dni poprzedzających wesele przez restauracyjną kuchnię państwa Santorich przewinęło się mnóstwo dodatkowych osób – dziadkowie, ciotki, wujowie. Teraz stoły uginały się od tradycyjnych weselnych włoskich potraw, chociaż pani Santori, pragnąc uhonorować Rachel, przemyciła też kilka potraw z Południa.

W którąkolwiek stronę zwróciła głowę, natychmiast widziała unoszący się kieliszek i słyszała radosny okrzyk:

– *Per cent'anni!*

Luke wyjaśnił, że to życzenia szczęścia na długich sto lat.

Wesele było huczne, bardzo udane, mimo faktu, że Leila, cioteczna babka Luke'a, a przy okazji kleptomani, potajemnie wносиła do swego samochodu patery z włoskimi ciasteczkami. Dlatego bliźniacy, Mark i Nick – jednakowo zabójczo przystojni, nic więc dziwnego, że w ich towarzystwie wszystkie przyjaciółki Rachel przeistaczały się w rozflirtowane piękności z Południa – dokonywali następnej kradzieży, a mianowicie kradli z samochodu skradzione ciasteczka i z powrotem przynosili na stół.

Wuj Luke'a, Johnny, uwodził panie, łącznie z ciotką Rachel, Ginny, która

wyraźnie nie miała nic przeciwko temu. Meg przestraszyła wszystkich, kiedy raptem zdawało jej się, że dziecko chce przyjść już na świat. Na szczęście był to fałszywy alarm. Rudy Martinelli, tańcząc z panną młodą, ze łzami w oczach dziękował jej za spełnienie kaprysu starego człowieka i włożenie tej właśnie sukni.

Jedli, pili, tańczyli. Białą satynową torebkę, *borsę*, jak poinstruował Luke, która była prezentem od jego matki, Rachel zgodnie z poleceniem miała otwartą, by goście mogli wkładać do niej pieniądze.

Późnym wieczorem, kiedy tańczyła z jednym z ciotecznych dziadków Luke'a, który bardzo słabo mówił po angielsku, przechwyciła wzrok swego męża. Patrzył na nią z drugiego końca sali. Patrzył i poruszał ustami.

– Kocham cię.

Uśmiechnęła się i szepnęła cichutko:

– Ja ciebie też.

– Hę? Co mówisz, dziecko? – spytał cioteczny dziadek.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Luke był już przy nich.

– Mówiła do mnie, wujku Pepi. Powiedziała, że mnie kocha.

Wujek chyba znów nie zrozumiał, uśmiechnął się więc tylko, pogłaskał czule Luke'a po policzku i dyplomatycznie się oddalił.

Na środku parkietu pozostała tylko para młoda.

– Rachel? – zagadnął cicho Luke. Podniosła głowę i nagle tłum gości jakby znikł.

Głosy i muzyka przycichły, przeszły w prawie niedosłyszalny szmer. Nie widziała nikogo, tylko Luke'a. Swego męża. Już czas.

– Gotowa do odjazdu?

– Tak.

Wziął ją pod ramię i poprowadził przez tłum. Goście rozstępowali się przed nimi, uśmiechali się albo ukradkiem ocierali oczy, naturalnie przy akompaniamencie radosnych okrzyków:

– *Per cent'anni!*

– Będziemy szczęśliwi, prawda, Luke? Nie, nie pytała. Po prostu stwierdzała fakt. Skinął głową, musnął palcami jej policzek, potem usta musnęły skroń.

– Naturalnie, że będziemy szczęśliwi, pani Santori. Co najmniej przez sto lat.

## Epilog

Po raz pierwszy w życiu Daisy O'Reilly miała okazję się przekonać, że szczęście rzeczywiście sprzyja Irlandczykom, a już w pierwszym rzędzie młodym Irlandkom, bo na głowę Daisy O'Reilly wcale nie posypały się gromy. Żadna z narzeczeńskich par, do których wysłała niewłaściwe gadzety, nie zgłosiła reklamacji. Cisza. Jakby te pary z tej pomyłki były nawet zadowolone...

Niestety do pełni szczęścia było jeszcze daleko. Minęło kilka tygodni, a Neil nadal się nie pojawiał. Na pewno przepłoszyła go swoim głupim zachowaniem, bo następnego dnia przyjechał inny kurier, to znaczy ten co zwykle. A Daisy pozostało tylko rozmyślanie. Jak by to było, gdyby wtedy tamtemu kurierowi, Neilowi, powiedziała to, o co prosił.

Jedno słowo. Swoje imię. Daisy.

Trudno. Tamtego dnia była w fatalnym nastroju, na pewno nie w takim, żeby dać facetowi szansę. Ale tamten dzień jednocześnie nie był tak do końca tragiczny, bowiem bezceremonialna uwaga Trudy na temat kontaktów Daisy z facetami skłoniła rzeczoną Daisy do naprawdę głębokich rozważań, które trwały blisko miesiąc. Pod koniec miesiąca Daisy była skłonna przyznać kuzynce rację.

Szukała miłości u różnych życiowych ofiar, co dawało jej swego rodzaju komfort psychiczny, bo kiedy w końcu zostawała sama, miała na kogo zwalić winę. Cóż, tak naprawdę Daisy miała kompleksy. Nie ceniła siebie. Nie wierzyła, że mógłby pokochać ją jakiś normalny facet. Pokochać taką, jaka jest i pokochać na zawsze.

Tak więc koniec miesiąca oznaczał przełom. Wyciągnęła pewne istotne wnioski, na co oczywiście potrzebowała trochę czasu, dogłębnie wysondowała swoją duszę i spożyła sporą ilość lodów firmy Ben and Jerry. Wnioski ogólnie można było uznać za optymistyczne. Bo może wcale nie jest tak źle. Może ona, Daisy, ma jednak coś do zaofiarowania facetowi na poziomie. I może nawet jej należy się od życia jakiś miły człowiek, prawdziwa miłość, a nawet złota obrączka i któryś z tych głupawych ślubno-weselnych gadżetów, które sprzedawała każdego dnia.

Powyższe wnioski zdecydowanie poprawiły jej nastrój.

– Może wcale nie jest za późno! – powiedziała sobie, wchodząc pewnego dnia do pokoju, gdzie szykowano wysyłkę.

– Na co? – spytał jakiś męski głos. – Na co nie jest jeszcze za późno?

Szok. Daisy, prawie wstrzymując oddech, powoli odwróciła głowę. Tak, to był Neil. Spoglądał na nią z taką samą życzliwością i zainteresowaniem, jak tamtego dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Uśmiechnęła się powoli, miło i z zadowoleniem. Los dał jej przecież jeszcze jedną szansę, a ona miała nieodparte przeczucie, że może zdarzyć się coś



cudownego, oczywiście pod warunkiem, że sama temu nie przeszkodzi.

– Na co nie jest jeszcze za późno? – spytał ponownie Neil cichym głosem, a pytanie to było takie jakieś... nabrzmiałe treścią. Jakby Neil wierzył w różne dziwne rzeczy typu zrządzenie losu i tak dalej.

– Na to, żeby powiedzieć ci moje imię. Panie Boże, spraw, żeby on jeszcze chciał... Chyba chciał.

Położył clipboard na biurku, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

Podąła mu swoją. W chwili, kiedy dotknął jej palców, poczuła iskierkę. Iskierkę-przecucie, iskierkę-znak, że stanie się coś nieuniknionego.

Delikatnie uścisnął jej dłoń.

– Cześć. Jestem Neil. Miło mi cię poznać.

– Cześć. Jestem Daisy. Mnie również bardzo miło cię poznać.

Potem zapadła cisza, tylko patrzyli na siebie. Niby nic, ale żadne z nich nie cofało ręki, a Daisy czuła, że stało się coś bardzo istotnego. Zrobiła pierwszy krok na początek długiej wędrówki. Krok nieduży, ale być może jest to najważniejszy krok w jej życiu.

– Neil... – odezwała się w końcu. – Jest coś, co powinieneś o mnie wiedzieć.

– A coś– Jestem Irlandką. – A potem, nie potrafiąc dłużej powstrzymać rozpierającej ją radości, roześmiała się. – Jestem Irlandką, a to znaczy, że wierzę w elfy, Neil.